ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK VII. Nr 28/316
LONDYN, 12 LIPCA 1953 R.

MARIA CZAPSKA

SMOLARNIA, LIZUNY, PODGARDLE I SZEPTUNY...

I.

Florian Czarnyszewicz, długoletni emigrant argentyński i autor „Nadberezyńców" wydał ostatnio drugą książkę p. t. „**Wicik Żywica**", ale czy dużo ludzi czytających na emigracji zna pierwszą? Wyszła w 1942, w Buenos Aires i dotarła jakoby do Londynu i nie dalej, a pośród grozy tych lat rychło poszła w zapomnienie; dwie lub trzy recenzje — to wszystko.

Sądząc z tytułu i rozmiarów niejeden pomyślał sobie: regionalne wspominki! Kto by tam czytał takie tomisko o Nadberezyńcach w dobie najbardziej zażartych walk po świecie i dymiących w całej Europie krematoriów?

Później, kiedy się ważyły losy Polski w Jałcie, Poczdamie, San Francisco i kiedy te losy zostały omal zrównane z losami kraju Czarnyszewicza — nikt zdaje się już nie wspomniał „Nadberezyńców". Dopiero recenzja Melchiora Wańkowicza w „Kulturze" (nr 60), recenzja spóźniona o dobrych kilka lat, wydobyła z niepamięci jedną z najpiękniejszych książek, którą wydało nasze pokolenie emigracyjne.

Czytaliśmy ją „do białego rana", czytaliśmy „jednym tchem", jak człowiek zatruty wyziewami rozpalonego miasta wdycha powiew dalekich sianokosów. I więcej, do książki tej wracamy, odczytując po wielokroć te same stronice, te same ustępy. Zawdzięczamy jej radość i żal gorzki, śmiech i łzy.

Wańkowicz pisał o blasku, który od niej bije, Miłosz o nieomylnym instynkcie i dojrzałości artysty, o tym wzbogaceniu prozy polskiej, które wniosły „Pamiętniki chłopów" i „Pamiętniki emigrantów", podobnie jak „Nadberezyńcy", „nieobwąchane przez żadną kawiarnię".

Czarnyszewicz znał chyba Mickiewicza i Sienkiewicza, ale w książce jego nie ma cienia naśladownictwa, nie szukajmy więc ani jego wzorów, ani szkoły, która go wydała. Pisał z pełności serca, po ciężkich dniach pracy w argentyńskiej rzeźni, natchniony miłością ziemi rodzinnej i nieomylną pamięcią.

Toteż nie sposób nie ustawić „Nadberezyńców" w promieniach „Pana Tadeusza", z tej samej jest rodziny, to samo źródło czystej tęsknoty książkę tę wydało, urzeka nas ten głos. Sceny bójek, zasadzek, wybiegów, pościgów, podobnie jak sceny miłosne przypominają najlepsze strony „Trylogii".

Język Czarnyszewicza, to skarbiec dla językoznawców. Świeży i bujny, polsko-białoruski, samorodny i słowotwórczy, nie wylizany dziennikarskim banałem, niespętany prawidłami, rośnie jak kwiaty puszcz tamtejszych i pleni się całym bogactwem właściwych sobie form. Żeromski wspomina obfity skarbiec gwar objętych granicami państwa, gwar, w których nie zaglądając do starych szpargałów „zbierać można słowa w biały dzień jak żyto w polu". Czarnyszewicz nie potrzebował zbierać słów, zachował je w pamięci i oddalony o tysiące mil od swojej ziemi ułożył z nich czarującą opowieść o kraju lat dziecinnych.

Niektóre wyrażenia, jak drużak, hruba, hurba, puha, bałabony, chmyz brzozowy i i. to albo wyrazy gwarowe staropolskie, wyszłe z użycia albo białoruskie, a może rosyjskie. Zdaje się białoruskie są: bruć się (mierzyć w bójce), nabuchtorzyć (durzyć, bałamucić), badziać się (pętać się) itd. Ale są też inne, jakby samorodne, dla spraw codziennych tworzone, jak trel (przerąbana linia w lesie), zimnik (droga zimowa), męczarstwo (umęczenie), wklepany (zakochany), dostukać się (dorobić się), serce sakocze (łomoce), żyto krasuje (bujnie rośnie), suchowiej (letni wietrzyk) itd.

Podobnie nieprzebrana jest świeżość obrazowania autora, pomysłowość i plastyka jego przenośni: dzień jak lustro, pogoda aż miga w oczach, las gładki jak dzwon, fale rzeki wysokości dobrego pokosu, kości na krupę zetrzeć (pogróżka), czyta gładko jakby rzepę gryzł, jakby bobem sypał, serce drży niby jagni ogonek, od śpiewu ptaków las trzeszczy, od żółtości łopuchów słonko blednie...

Zachwyca nas „Psałterz Dawidowy" w swobodnym przekładzie Kochanowskiego:

Jako na puszczy prędkimi psy
szczwana
Strumieni szuka łani zmordowana...

albo o Bożej srogości:

...biłeś je w gęby
A oni w krwawym piasku zbierali
zęby...,

raduje obrazowanie Paska, kiedy o szykach moskiewskich pisze: „wyszedłszy z chróstu stanęli jako mak kwitnący...", albo „że królowi puściły się łzy z oczów, właśnie kiedy groch spuszcza ziarno po ziarnie..."

Tylko bardzo bliskie i nieobojętne zżycie się z przyrodą i dolą wsiowego człowieka daje takie metafory i takie obrazowanie, którego nie znajdziemy u poetów i pisarzy miejskich.

Podobnie, kiedy Czarnyszewicz porównuje pisk płozów po żwirze do pisku głodnych prosiaków albo szczecinę na golonej twarzy młodzieńca do otawy na skoszonej łące — daje nam coś więcej jak metaforę, daje życie zaścianka, jego oddech, rytm jego serca.

Potęga wiosennych roztopów, nadciąganie gradowej burzy, huk rozkołysanej wichrem puszczy, pełnia obfitego lata, rozmaitość obłoków letnich i chmur jesiennych, uroda oszronionego lasu, to — wedle słów Conrada — „wymierzenie najwyższej sprawiedliwości widzialnemu światu". Niczego Czarnyszewicz nie zapomniał w obcej ziemi, ani miejscowych nazw ptaków: siniczki, kołopieńki, śniegiry, sitowce, korszuny (jastrzębie), busły (młode bociany), ani kwiatów i traw jak czarnogłówek, leżaj, asak, kuroślep, kozielec, kopytnik, jawor, wroniec, pych, miodaczka, nagódki, bobek, brusznicznik, łyżeczki, bujaki, bohun, lenek, dzięcielina, — cały skarbiec ludowej pomysłowości na wyrażenie barw, kształtów, zapachów. Tę samą obfitość przekraczającą ramy ustalonego w literaturze słownictwa, tę samą bujność wód wiosennych odnajdujemy w mowie bohaterów powieści, zwłaszcza kiedy przemawiają pod wpływem afektu. Zakochani układają inwokacje miłosne, złość budzi obfitość złorzeczeń podobną do zaklęć czarowników, kobiety zawodzą po umarłych jak odwieczne płaczki. Kościk Wasilewski nazywa swoją ukochaną Karusię: orliczką, miłką, lubką, zazulą, duszą serdeczną, lilijką białą, kraską tęczową, kwiatkiem pachnącym. Hańka Piotrowszczanka, wydana za mąż do innego zaścianka, pomstuje na swoją okolicę: „ludzie tam zamożne, prawda, ale same glinogryzy, plewojady, dusigrosze, brzydkomowy, rusochwały, moskwolizy, niedowiarki".

Zdanowiczowa rozpacza po zabitym synu: „Synku rodny, sokole mój! jedynaku, nienagladny, skarbie, serce moje!".

A oto stary „wilczobiletnik" Piotrowski, zwany „Mieczykiem", nieodrodny brat Jana Chryzostoma Paska, rozczula się nad swymi gospodarnymi córkami, które pod jego nieobecność sieją i orzą, ratując co tylko można z gospodarskich zasobów: „Córuchny moje, mróweczki robocze, i zaradne, żórawinki rumiane, malinki złote... Jaż was jak przyjadę... Jaż was!..."

Wreszcie nieporównane przemówienie tegoż Piotrowskiego, wygłoszone w Bobrujsku, na posłuchaniu u generała Konarzewskiego. To rok 1919. Mieczyk przedkłada generałowi pokorne błaganie polskiego ludu znad Berezyny o przyłączenie ich ziemi do Polski, maluje tęsknotę, z jaką ludność chutorów i zaścianków czeka Polski „jak człowiek w Poście czeka Wielkanocy".

„Na rękach, mówią, będą nosić polskich żołnierzy, jak przyjdą... A gęsto jest wsiów polskich, miejscami gęściej nawet niż po tej stronie rzeki. Ot, koło nas na przykład: Smolarnia, Jama, Polanki, dalej Mohilniec, Lizuny, Żerdzianka, Wieżgajłowo, Turkacze, Sakatuszki, Maślaki, Michałówka, Podgardle, Szpyrki, Szeptuny, Grodzianka, Glinokopy, Birki Małe. To tylko zaścianki, a prawie drugie tyle mieszka obok na chutorach. Teraz wymienię drugie pasmo zaścianków..."

— Zbytecznie, panie — przerwał generał — powtarzam, że o przyłączeniu krajów nie decyduję."

Dwa lata później linia Traktatu Ryskiego odcięła tę ziemię od Polski i oddała na zatracenie Smolarnię, Jamy i Polanki...

Śpiewa ta książka i płacze.

II.

Czesław Miłosz w swoich notatkach o „Nadberezyńcach" w „Kulturze" nr 67 wspominając powtarzalność historyczną zestawia przywitanie generała Dąbrowskiego przez Jankiela z przemówieniem Piotrowskiego u generała Konarzewskiego.

Powtarzalność historii! Ciągłość losów ziem kresowych, wystawionych od stuleci na gwałty najeźdźców i krzywdy ciemięzców. Powtarzalność ofiar w każdym pokoleniu na rzecz jednej lub drugiej prawdy, jednej albo drugiej wierności, ofiar tej lub innej przemocy...

...Jakże Wasze myśli? (pyta Sędzia Bernardyna),
Czy potrzeba, byśmy zaraz w pole wyszli?
Strzelców zebrać — rzecz łatwa; prochu mam dostatek.
W plebanii u księdza jest kilka armatek...
a szlachta Dobrzyńskiego zaścianka:
„Wojny!" — krzyknęli...
„Wojny z Moskalem! Bić się!
Hajże na Moskali!"

To rok 1812 — Nowogródczyzna.

A oto Stach Bałaszewicz namawia szlachtę zagrodową znad Berezyny, by wstępowała do wojska polskiego, które się pokazało w Bobrujsku.

„Po mojemu z tego wielki bunt wyjść może" — ostrzega jeden z obecnych.

„Bunt? — powiada Stach — a panie, jak Polski po dobrości nie oddzielą, to i bunt będzie. A cóż to nam, szlachcie, bunt nowość? Chyba może państwo, szlachta nieprawdziwa, że się go boi?

„Szlachta zahuczała jak gniazdo szerszeniów.

„— Jak Waść możesz mówić takie rzeczy? My szlachta honorowa! Miecze jeszcze dawniejsze w domu mamy! My pierwsze do wszelkiego buntu!..."

To rok 1915 — Bobrujszczyzna.

Od stu pięćdziesięciu lat, od pierwszych rozbiorów, wysiedlano z tych ziem kresowych „godnych na chleb i na las", jak powiada stary Piotrowski, szlachtę zagrodową jako element niepożądany, krnąbrny i buntowniczy niszcząc planowo te forpoczty polskości i katolicyzmu. Po każdym powstaniu palono zaścianki „miatieżników" i ziemię zaorywano, żeby nie było śladu po „gniazdach szerszeniów". Każde pokolenie składało swój haracz. Na tych ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, włączonych po Kongresie Wiedeńskim do Rosji nie mogło być, w mniemaniu władz rosyjskich, Polaków, każdy bunt był zatem karany z podwójną surowością, a mimo to, aż do bolszewickich czasów, przechowywano w chatach słomą krytych stare szable z wywodami szlachectwa i jakąś pamiątkową relikwią.

Twardy polski lud kresowy.

„Losie ty nasz parszywy! — rozpacza Kościk Wasilewski, komendant leśnego oddziału w obliczu nowego bolszewickiego najazdu. — Czemu płodzisz tę zakałę na naszą biedę? Czemu jej nie wydusisz, Boże miły? Czemu Ty tak rządzisz?"

Ciężkie wtedy padają oskarżenia z ust młodego bohatera „leśniczonka" na klasę ziemiańską, na tych co zawsze umieli czy to za Moskali czy za Niemców bronić swych interesów, ochraniać majątki, urządzać dla najeźdźców polowania i biesiady, ale ani się nie zbliżyli z braćmi z zaścianków, ani się nie porozumieli dla obmyślenia wspólnej obrony a w chwili niebezpieczeństwa rzucali wszystko i uchodzili.

„Nie za burżujów idziemy!" — głosi podtytuł „Nadberezyńców". To upragnione przez bohaterów powieści Królestwo Polskie, za które walczył stary Piotrowski, zginął Kazik Zdanowicz i Walka Tryzno, któremu służyli w każdej potrzebie Kościk Wasilewski i Stach Bałaszewicz, miało być królestwem sprawiedliwości, zgody i jedności, miało tę ziemię polsko-białoruską ogarnąć zbrojnym ramieniem, zabezpieczyć ład, zapewnić praworządność. Ale Polska tej ziemi nie zechciała wziąć pod opiekę. Mieliż oni odbiec swoje strzechy zwichrzone zimowymi nawałnicami i każdej wiosny własnoręcznie naprawiane? Sady za chatą, pola i łęgi puszczy wydarte, dęby stare, dźwigające szeregi barci ustawianych parami i deskami podkurów chronione od niedźwiedzi? A gdzieżby poszli rzuciwszy to wszystko i do czego? Toż to było ciało ich ciała, trud ich trudu.

Zostali więc.

Najgłębszym obok polskości nurtem tej książki, to jej religijność, to katolicyzm wiążący ten lud szlachecki, polsko-białoruski z tradycją, obyczajem, obrzędem i Sakramentami Kościoła rzymskiego i kulturą zachodnią. Katolicyzm Nadberezyńców nie żywił żadnej wrogości do ruskiej wiary wsi okolicznych. Bardzo starzy ludzie pamiętali jeszcze kiedy obchodzono wspólnie wielkie święta, zbierano się na procesje, odbywano pielgrzymki do miejsc cudownych. Zniesienie Unii a następnie rusyfikacyjna polityka prawosławnego duchowieństwa dążyła do poróżnienia chłopów obdarzonych ziemią i wolnością przez cara nie przez panów, ani Polskę chłopów prawosławnych, z Lachami obcej wiary „miatieżnikami". To samo jednak niebo ich łączyło i szum rzek rodzinnych, ten sam las wiązał z ziemią lesistą i podmokłą.

Dnie i lata, cały wiek człowieka od kołyski do grobu, do tych mogiłek, gdzie składano bliskich na wieczny spoczynek, zasypując dół „bez rydlów, garścią samą... ziemią wytrząsaną z korzonków, czystą, sypką, zroszoną łzami...", są oplecione wiarą. Doroczne święta chrześcijańskie, związane z odwiecznym kultem sił przyrody, to niezmienne etapy wytchnienia po pracy. Wiara w miłosierdzie Boże, poddanie się Jego woli, ufność w sprawiedliwość wszechmocną, poszanowanie rodziców i starszych, świętość małżeństwa, lęk przelania krwi nawet w obronie własnej, stosunek do śmierci, do życia wiecznego, kult obrazów i relikwii, różaniec, zwrot ku Bogu w każdym niebezpieczeństwie w smutku jak i radości nadają sakralność każdemu gestowi tych ludzi, stanowią o godności ich życia i śmierci, są źródłem ich wierności i trwania.

Biała Procesja w Bobrujsku, doroczny „fest" w niedzielę oktawy Bożego Ciała, to manifestacja jedności i wiary wielotysięcznego ludu kresowego i dziesiątków księży z dwunastu okolicznych parafii czterech dekanatów: Słucka, Ihumenia, Rohaczewa i Rzeczycy, manifestacja polsko-katolicka, po stu dwudziestu latach prześladowań i rusyfikacji.

Najwyższą nutą grają te uczucia nadberezyńskich katolików w opisie przygotowań na przyjęcie biskupa Łozińskiego w Wończy (to jesień 1918 roku i losy tego kraju wciąż się ważą).

„Biskup Łoziński w nasze strony jedzie! Kaplicę naszą własnymi rękami święcić będzie! — zwiastowali jeden drugiemu z płomieniem w oczach...

„Między zaściankami i Wończą ruch taki powstał, jakby w pospolite ruszenie dawnych czasów. Kto znał się trochę na stolarstwie szedł pomagać majstrom, inni wozili gonty, ciosane łaty, piłowali deski, biegali po kweście, służyli za posłańców...

„Już Biskup w Szacku, już w Osipowiczach! Już jedzie do Bobrujska!... Porwał ludzi entuzjazm, jak podczas pojawienia się Dowborczyków zeszłej zimy. Kto miał jaki kwiatek, roślinę godną zachwytu albo świętość jaką w domu, niósł na upiększenie przybytku Bożego, na wspólny ołtarz; wroniec i brusznicznik, to wozami na plac kapliczny wozili... Wznoszono bramę, wito wieńce, upiększano podwórko, kaplicę, ołtarz..."

„Wójt zaawieruszyli szerszenie! Wójt zahuczeli! — mówili pobratymcy, przypatrując się przygotowaniom tłumnie.

„A ich na te uwagi jeszcze większy zapał porywał.

„— Teraz się dowiecie, jaka nasza siła, jaka między nami drużba! — odpowiadali... — Teraz się dowiecie, jaka nasza wiara piękna jest!"

Oczekiwanie, przyjęcie, przemówienie biskupa i nabożeństwo — to tyleż niezapomnianych stron tej niezwykłej książki.

Kto jeszcze z ludzi „tamtejszych" pamięta świętej pamięci biskupa Łozińskiego, jego wysoką szczupłą postać, twarz kościstą i bladą, jakby wytrawioną ogniem wewnętrznym, twarz oświeconą spojrzeniem i uśmiechem, kto pamięta jego głos chropowaty i załamujący się wzruszeniem, ten dopełni własne wspomnienie opisem Czarnyszewicza, które ma coś z wierności zeznań świadków niepiśmiennych, podpisujących się znakiem krzyża — opisem zakończonym słowami: „Jak Boga kocham!"

„Dzieci moje!... — mówił Biskup — Jako kapłan dziękuję wam za wiarę w Chrystusa, jako Polak za wiarę w Polskę... Tylko kapłaństwo w młodych latach otrzymując, taką radość miałem, jakiej teraz doznaję, tylko do matki swej rodzonej taką wdzięczność żywię jaką do was za waszą wiarę czuję..."

Książka urywa się na tym roku 1918 akcentem nadziei.

• • •

W kilka lat później zaczęła się likwidacja polsko-katolickiego żywiołu na sowieckiej Białorusi, nastąpiły zsyłki na Sybir lub do obozów północnych; pozostali chronili się przed aresztowaniem, uciekając do miast. Docierały do nas wtedy wieści, że, na szesnaście dawnych parafii nadberezyńskich, pozostał w 1937 roku jeden ksiądz, który w drewnianych trepach i samodziałkach przekradał się z kołchozu do kołchozu chrzcząc i spowiadając. Kościoły i cerkwie zburzono lub zamknięto. Ci, co po klęsce Polski w 1939 znaleźli się w Mińskim więzieniu, spotkali tam jeszcze sporo ludzi miejscowych aresztowanych i dręczonych za wiarę i kontakty z Polską.

Bogate i rojne niegdyś zaścianki nadberezyńskie zarastają dziś lasem.

• • •

Rufin Piotrowski w swoich „Pamiętnikach" z połowy ub. wieku podaje, że po całej Syberii znajduje się mnóstwo potomków Polaków wysiedlonych z gubernii kresowych już za Katarzyny II, że co krok spotyka się polskie nazwiska, zaś około Semipałatyńska, w pobliżu Gór Ałtajskich, jest jedna lub nawet dwie wsie z samych potomków tych Polaków złożone, „mówią nawet jeszcze po polsku i hodują pszczoły, a miody tych wsi są bardzo słynne w Syberii i w wielkiej znajdują się obfitości".

Nie wiemy jakie były losy tej wysiedlonej w XVIII w. szlachty kresowej, zabrakło świadka, który by nam przekazał ich dzieje.

Z potopu ostatniego półwiecza zostanie książka Floriana Czarnyszewicza o kraju nad Berezyną i Nadberezyńcach.

Maria Czapska

JÓZEF ŁOBODOWSKI

PROLOG DO POEMATU

(Fragmenty)

II.

**Wiatr, wiatr zatyka usta rzewnym fletom,
wiatr, wiatr rozwiewa grzywy płowym lwom.
Który ogniem i orłem krążysz nad poetą,
na chmury unieś skołatany dom!
Gdy czerń wzburzona wokół i noc nieprzejezdna,
ześlij Twych archaniołów w złocistym kirysie,
ukaż nam w jasnych gromach pałającą Twarz...**

**Który jesteś,
który mścisz się,
zdradzony przez nas,
Panie Boże nasz!**

**Usta płomieniem błękitnym ujarzmij,
przepal na czarny węgiel i w serce się wessij,
porwij zawieją, proste drogi wskaż mi,
skrzydłem szumiącem nocnego żórawia
otrzyj nam mroczne czoła ze śniedzi i win...**

**Oto Cię wołam, oto Cię pozdrawiam,
cierpiącej ziemi nieodrodny syn!
Lęk mnie nawiedził i oczy me rozciął,
Z doczesnych bogactw stokrotną wziął grzywnę.
I oto stoję, rozwarty jak Kościół,
nim piorunami wypełni go niebo,
i sny mi śnią się prorockie i dziwne
w oczekiwaniu przed walną potrzebą.**

**Najpierw był zmierzch. W półcieniu oddycha się milej
i żwawiej w sprawnych dłoniach wykańcza się praca.
Nurzając rogi w rozzłoconym pyle,
stado wołów powolnych do obór powraca;
gdy usta śpiewakowi zakwitają wierszem,
żołnierze wsparli dłonie na zwycięskich mieczach,
dęby szumią opodal.
To widzenie pierwsze,
które światu mrocznemu zaprzecza.**

**Nadchodzi burza w przerywanych nutach,
rżą, wspinają się konie nad kamiennym mostem.
Stopa, w sandał spiżowy najszczelniej obuta,
powoli kroczy za skrzypiącym pługiem.
Spojrzenia szczere, słowa bardzo proste
i nocny spokój.
To widzenie drugie.**

**Kamienie tablic potrzaskane w gromach,
przez szczerby w hełmie mętny nurt przecieka.
Każda zdobycz jak zbrodni kolejnej oskoma,
popiół w winnicach i trupy na rzekach;
płomień podziemnym szamoce się kuźniom —
wyrwał się, zgasł na wietrze...
I nie ma już widzeń.
Tylko śpiew, jak owoc dojrzały zbyt późno,
na mych ust przepalonej łodydze.**

IV.

**Choć warga swoją klęskę i samotność wyzna,
przecież się nie poddała bezsilności płaczem.
W nieczłowieczych rejestrach, w nadziemskich ojczyznach
ta walka się rozstrzyga inaczej.**

**Zmilkną ostatnie działa rozbitym redutom,
lecz broni się nad światem uniesiony szaniec,
nieprzejednaną odkrzykując nutą,
że klęska nasza minie, a walka zostanie!**

Józef Łobodowski

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Audiencje u Papieża. Ojciec św. Pius XII przyjął na prywatnej audiencji watykańską delegację na uroczystości koronacyjne Elżbiety II z nadzwyczajnym ambasadorem, arcybiskupem Fernando Cento, nuncjuszem w Belgii. Papież przyjął także powracających z uroczystości koronacyjnych premierów: Pakistanu Mohammeda Ali'ego i Cejlonu Dudley'a Senanayake'a.

Dekret o heroiczności cnót czcigodnego Sługi Bożego Michała Rua. Z datą 26 czerwca został ogłoszony dekret św. Kongregacji Obrzędów, stwierdzający, że Sługa Boży Michał Rua posiadał w stopniu heroicznym cnoty teologiczne i kardynalne. Był on jak najściślej związany z założycielem salezjanów, św. Janem Bosco, po którego śmierci został przełożonym generalnym i przez 22 lata aż do śmierci w r. 1910 z wyróżniającą go cnotą roztropności rządził zgromadzeniem, podtrzymując w jego członkach pobożność i gorliwość o zbawienie dusz, rozszerzając jego działalność, nie zaniedbując niczego, co mogłoby się przyczynić zgodnie z planami założyciela do większej chwały Bożej. Sługa Boży Michał Rua odznaczał się pokorą, która jest fundamentem cnót i miłością, ich koroną, w takim stopniu, że św. Jan Bosco nie wahał się powiedzieć: „Jeśli powie mi kto, że on dokonał cudu, bez trudu uwierzę“. W dwanaście zaledwie lat po śmierci Michała Rua rozpoczęły się badania kanoniczne w sprawie jego świętości; gdy po dekrecie o heroiczności cnót nastąpią jeszcze dwa dekrety, jeden o cudach zdziałanych za przyczyną Michała Rua, drugi stwierdzający, że można bezpiecznie przystąpić do jego beatyfikacji, Kościół zyska nowego błogosławionego.

Uroczystości Ozanamskie. We wrześniu w Paryżu odbędą się uroczystości w związku ze stuletnią rocznicą śmierci Fryderyka Ozanama, wielkiego założyciela konferencji św. Wincentego a Paulo. Papież zamianował kardynała Maurycego Feltina, arcybiskupa Paryża, swoim legatem na te uroczystości. W toku jest proces beatyfikacyjny Ozanama.

70-lecie „La Croix“. Katolicki dziennik „La Croix“, wychodzący w Paryżu, obchodzi w tym roku 70-lecie swego istnienia. 16 czerwca 1883 r. ukazał się pierwszy numer tego pisma, z okazji uroczystości Najśw. Serca Jezusowego. Wśród wielu trudności, zarówno od swoich w czasie laickiego kierunku w rządach krajem i prześladowania religijnego, jak też od obcych w czasie drugiej wojny światowej, „La Croix“ trzymał mocno sztandar katolicyzmu we Francji, bronił spraw katolików francuskich, kwestionowanych im praw i pozycyj i — według słów kardynała Feltina — „był zespolony z całą nędzą świata, z całym jego niepokojem, z całym jego dążeniem do sprawiedliwości i pokoju“.

Szkolnictwo katolickie w Indiach. W Indiach jest obecnie 6 tysięcy szkół katolickich, do których uczęszcza milion dzieci i młodzieży, w tym 50% niekatolików.

W obronie moralności. Pod wpływem Akcji Katolickiej powstał w Wenezueli Sekretariat dla Moralności Publicznej. Stało się to w związku z apelem arcybiskupa Caracas, Łukasza Wilhelma Castillo, a wyrażającym troskę z powodu zwiększenia się niemoralnych filmów i ogólnego upadku moralności publicznej. Zadaniem nowopowstałego sekretariatu jest nie tylko zwalczanie niemoralności w filmie, radio, telewizji i innych widowiskach, lecz także prostytucji i narkotyków.

Problem przeludnienia Japonii. Rząd japoński, opierając się na naleganiach „ekspertów“ japońskich i amerykańskich, popiera sztuczną kontrolę urodzin, a dokonujący praktyk mających na celu wywołanie poronień nie są ścigani przez prawo. Jedno z pism amerykańskich zwróciło się z zapytaniem w tych sprawach do arcybiskupa Tokio, Piotra Tatsuo Doi. Arcybiskup stwierdził, że przyczyny problemu przeludnienia należy szukać nie w szczupłości środków, jakie daje natura, lecz w ich złym administrowaniu przez ludzi. Powstałej w ten sposób klęski społecznej w skali światowej nie można leczyć przez stosowanie metod niezgodnych z moralnością; odpowiedzialność całkowita spada na władzę, która ma obowiązek popierać taką emigrację, by doprowadziło to do słuszniejszych rozmieszczeń ludzkości.

Opór tubylczych katolików przeciw Mau Mau. Przełożony misji Maryknoll w Kenii, o. Tomasz Quirk, stwierdził, że nie wszyscy Kikuyu są zwolennikami tajnej organizacji Mau Mau, lecz wielu z nich, mimo narażania się w ten sposób na prześladowanie, sprzeciwia się wstępowaniu w jej szeregi.

O. Peyton w Australii. Znany z szerzenia Krucjaty Różańcowej, o. Patryk Peyton, przeprowadzi w ciągu 6 miesięcy, od końca obecnego roku począwszy, krucjatę różańcową w Australii, odwiedzając podobnie jak to czynił dotychczas w innych krajach, diecezje i organizując zebrania i konferencje.

Nowy rodzaj apostolstwa. W Kordowie hiszpańskiej bractwo Rycerzy Wiatyku zorganizowało pogotowie w trosce o umierających. Dwóch członków bractwa czuwa stale przy telefonie, w dzień i w nocy, by na wezwanie zawieźć do chorych księdza z Ostatnimi Sakramentami.

NOWE KSIĄŻKI

PRAWDZIWE OBLICZE HITLERA

Cały świat przeżywa ciągle jeszcze konwulsje, wiele narodów pozbawionych zostało wolności, miliony ludzi straciły swe siedziby i przebywać muszą na obczyźnie, nie mówiąc już o niepowetowanych stratach w ludziach, w budynkach i w zabytkach sztuki — oto skutki wdarcia się w historię XX wieku apokaliptycznej postaci Hitlera.

Należy on niewątpliwie do tych nielicznych w historii świata osobistości, których działalność zaważyła w sposób decydujący na losach ludzkości, a nie tylko jednego czy kilku państw. A chociaż imię Hitlera wspominane będzie z przekleństwami, nie da się ono wymazać z kart historii. Ilość książek poświęconych Hitlerowi, jest już wcale pokaźna, jednak pozostaje on wciąż jeszcze postacią problematyczną.

Ostatnio ogłoszony został zbiór intymnych wypowiedzi Hitlera w czasie posiłków, w rozmowie z innymi biesiadnikami, z lat 1941-1944*). Książka ta posiada niewątpliwie wartość dla historyka, gdyż pozwala zajrzeć niejako w głąb duszy Hitlera, pozwala poznać prawdziwe jego opinie, myśli i zamierzenia, jednym słowem przybliża nam obraz umysłowości Hitlera.

Powiedzmy sobie szczerze — jest to obraz straszny, obraz odrażający. Trevor-Roper w długiej i interesującej przedmowie zwraca uwagę na niezwykłe dokonania Hitlera w niesprzyjających okolicznościach. Nie były one dziełem wizjonera tylko albo pospolitego awanturnika. Umysłowość Hitlera, mierzona jego dokonaniami, musi być traktowana poważnie, jest ona umysłowością człowieka myślącego systematycznie i dla historyka przedstawia problem tak samo poważny, jak umysłowość, powiedzmy, Bismarka lub Lenina. Na podstawie tych wypowiedzi intymnych Hitlera Trevor-Roper kreśli zarys filozofii historii Hitlera, która, jak utrzymuje, odznaczała się „straszliwą spoistością, jakąś ponurą zgodnością z rzeczywistością, którą niemal że stworzyła“. Hitler był, według Ropera, jednym z tych straszliwych „upraszczaczy“, który tak żywo odczuwał rzeczywistość swych idej i dysponował takim zapasem energii duchowej, że zdołał zgromadzić dokoła siebie nie tylko grupę ludzi, oddanych mu na śmierć i życie, ale i porwać za sobą bodajże większość narodu niemieckiego, który uznał w nim swego proroka i realizatora na pół dojrzałych czy uświadomionych sobie ambicyj i marzeń.

Jak interpretował Hitler bieg historii? — Przyswoił on sobie w dużej mierze poglądy Spenglera i w historii upatrywał łańcuch kolejno następujących po sobie okresów, charakteryzujących się swoimi „kulturami“, obejmującymi całość ówczesnej organizacji społecznej i idei. Dla antycznej kultury Grecji i Rzymu Hitler okazywał wiele entuzjazmu, choć znajomość tego świata była podobno u niego bardzo skromna. W średniowieczu upatrywał piętno „germańskiej“ kultury. Odrodzenie było — według niego — wstępem do nowoczesnej „kapitalistycznej“ kultury Europy zachodniej. Ta ostatnia faza historii zawiera w sobie załążki nieuniknionej zagłady.

Upadek świata starożytnego interesował Hitlera nie jako kwestia akademicka, lecz jako odpowiedź prowadząca do rozwiązania aktualnego, praktycznego problemu. W przekonaniu Hitlera świat cywilizacji zachodniej był dotknięty śmiertelną chorobą i powoli dogasał (Spenglera „Der Untergang des Abendlandes“). Ale — rozważał Hitler — czy raczej nie powtórzy się proces z końcowej fazy Imperium Rzymskiego, kiedy hordy barbarzyńców zawojowały je i na drodze zastrzyku młodych, zdrowych sił przetworzyły na nową organizację państwową, zdolną do długiego życia? — Który z narodów współczesnych przeznaczony jest do odegrania roli barbarzyńców V i VI wieku ery chrześcijańskiej?

Hitlerowi zdawało się, że znalazł odpowiedź zadawalającą. Przede wszystkim ta nowa potęga byłaby potęgą lądową. Okres przewagi potęg morskich, zdaniem jego, skończył się. Morze niegdyś było najłatwiejszą drogą komunikacyjną. Jednak współczesne środki komunikacyjne, jak samochód, kolej żelazna i samolot, potrafią pokonywać przestrzeń i przerzucać łatwiej niż okręty i statki masy wojskowe, które stanowiłyby istotną siłę i powiązanie nowej potęgi światowej.

Bieg myśli Hitlera był inspirowany ideami słynnego geografa angielskiego Sir Halforda Mackindera, które znalazły tak sympatyczne echo na kontynencie europejskim, zwłaszcza wśród „geopolityków“ niemieckich w rodzaju Haushofera i innych. Na ogół, zgodnie z teoriami Mackindera, istniało przeświadczenie, że Rosja zajmowała pozycję lądową, predestynującą ją do roli imperium światowego. To też geopolitycy niemieccy raczej nawoływali Niemcy do sprzymierzenia się z Rosją, niż do wojny, mającej na celu jej podbój.

Hitler nie podzielał tej tendencji. Widział on w Niemcach materiał na władców świata. Czyż nie byli oni zawsze „kulturtregerami“, czyż w średniowieczu nie przewodzili światu? Teraz, gdy świat plutokratyczny chylił się ku upadkowi, wznowienie tej dawnej misji niemieckiej wydawało się czymś logicznym i naturalnym. Wprawdzie Rosja liczebnie górowała nad Niemcami, jednak Hitler wierzył w wyższość organizacyjną i techniczną Niemiec, a ponadto we własne zdolności przywódcze. Rozczytywanie się w Schopenhauerze i Nietzschem nauczyło go też wiary w potęgę woli ludzkiej, a przykład Mussoliniego, dla którego do końca niemal życia zachował podziw, zdawał się potwierdzać słuszność tej filozofii, że mianowicie pozornie beznadziejne procesy rozkładowe mogą być powstrzymane i odwrócone przez wielki zryw woli.

Hitler jednak nie stawiał powodzenia misji narodu niemieckiego wyłącznie na karcie aktu woli. Jego sprawnie działający i mimo dużej szorstkości potężny umysł sięgał daleko i głęboko w historię ludzkości, by wyławiać fakty i szeregować je w system brutalny i często bezkrytyczny, ale konsekwentny, który miał tu pomóc w osiągnięciu jego zamierzeń.

Interesowały go takie pytania — jak przeprowadza się rewolucję społeczną i jak stosunkowo mały naród może zawładnąć imperium światowym. Zdawało mu się, że historia dostarcza odpowiedzi. Rewolucje udają się, gdy władzę opanowuje mała stosunkowo grupa — elita. Narodowy socjalizm, to właśnie teren formowania się elity narodu niemieckiego. Niemcy miały się stać z kolei elitą Europy. Oto, jak Hitler widział drogę do zdobycia panowania nad Europą, a w następstwie nad światem przez narodowo-socjalistyczne Niemcy. Przyświecał mu tutaj przykład Anglii, która przy użyciu stosunkowo bardzo szczupłych sił zapanowała nad olbrzymim subkontynentem indyjskim i utrzymywała tam swą władzę.

Hitler nie miał też wątpliwości co do zachowania raz zdobytego panowania nad takim imperium. Rewolucja podbitej ludności w obecnych czasach, jego zdaniem, była niemożliwa. Wskazywał on szczegółowo środki utrzymywania władzy nad zawojowanym krajem. A więc — oczywiście — odbierze się ludności wszelką posiadaną broń, szkolnictwo zredukuje się do minimum, ułatwiać się będzie zapobieganie ciąży, utrudniać korzystanie ze szpitali i pozbawiać znajomości zasad higieny, aby zwiększyć stopę śmiertelności. Równocześnie niemieccy koloniści osiedlani będą w pasach wzdłuż głównych dróg i autostrad, zabezpieczonych systemem obozów wojskowych (na wzór rzymskich castra) i będą mieli wszystkie korzyści warstwy panów przy niewielkim kontakcie z ludnością tubylczą. Hitler planował (i w dużej mierze wykonał) ostateczne rozwiązanie problemu żydowskiego. Zamierzał też rozprawić się gruntownie z arystokracją, dla której miał pogardę z powodu jej rzekomego oblicza kosmopolitycznego i jej degeneracji. Nienawidził on zorganizowanej w kościołach religii, choć nie krył podziwu dla wewnętrznej struktury i metod rządzenia się Kościoła katolickiego. Chrześcijaństwo, które identyfikował z bolszewizmem i judaizmem, skazywał na wytępienie.

Oto, jak Hitler projektował po zwycięskiej wojnie z Rosją, jedynym poważnym współzawodnikiem o zdobycie imperium światowego, zapewnić podstawy „tysiąclecia“ władzy niemieckiej nad ludzkością. Zdawał sobie sprawę z charakteru barbarzyńskiego swych zamierzeń i metod, prowadzących do ich osiągnięcia. W 1933 r. oświadczył: „Jesteśmy barbarzyńcami i chcemy nimi być. Jest to tytuł zaszczytny. Odmłodzimy świat. Świat ten bowiem jest bliski końca.“

Wierzył, że na tym fundamencie na razie barbarzyńskim wyrośnie nowa, zdrowsza kultura, której zarys kreślił często w swych monologach. Niestety — poziom i treść tej kultury miały być na miarę Hitlera, którego idee w tym zakresie były dziwnie ciasne, pospolite, materialistyczne i w ogóle niedojrzałe. W jego wizji przyszłości „Herrenvolk“ wśród morza fizycznie scherlałych, umysłowo i moralnie zdegenerowanych poddanych ujeżdżałby bez końca po autostradach, podziwiał muzea, przyglądał się paradom i wysłuchiwał taniej muzyki czy wypoczywał w obozach „Kraft durch Freude“.

Odsłania się tu cała potworność zamierzeń Hitlera. Maniackie przekonanie o wyższości rasy aryjskiej, z szczególnym wyróżnieniem przy tym narodu niemieckiego, jego pogarda dla świata słowiańskiego, nienawiść do Żydów, mająca wszelkie cechy stanu chorobliwego, wreszcie jego koncepcja historiozoficzna — wszystko to pchało go do rozpętania wojny światowej, do przeprowadzenia prawdziwej rzezi przeciwników, do zainscenizowania orgii okrucieństwa po to, by zapewnić narodowi niemieckiemu podstawy egzystencji nudnej i pospolitej, pozbawionej wszelkiej wyższej inspiracji i możliwej do utrzymania tylko przy użyciu środków okrutnych i etycznie nie dających się obronić. Ten stan rzeczy miałby zresztą zapewne charakter trwały, bo psychologicznie Niemcom trudno byłoby wydobyć się z tej atmosfery tuzinkowej „kultury“.

Hitler dążył do hegemonii nad światem. Popełniał on jednak kapitalne błędy w ocenie sił swych przeciwników. Miał pewien respekt wobec Rosji, a zwłaszcza Stalina, jednak nie doceniał Anglii i Ameryki. W początkach 1942 r. powiedział: „Nie wydaje mi się, by Amerykanie mieli wielką przyszłość przed sobą. Według mojego pojęcia, jest to kraj chylący się ku upadkowi“. A przyszłość Anglii i Imperium Brytyjskiego wiązał ściśle z utrzymaniem się władzy angielskiej w Indiach.

W Stalinie Hitler uznawał przeciwnika godnego siebie, równie okrutnego i równie bezwzględnego w osiąganiu swych celów. Mówił o nim jako o „jednej z najbardziej niezwykłych postaci w historii świata“, jako o „przebiegłym Gruzinie“. Stalin jest „na wpół olbrzymem, na wpół bestią“, „gdybyśmy mu dali spokój przez dalszych 10 lat, Europa byłaby zmieciona z powierzchni, jak za czasów Hunnów“. I dlatego „dla Stalina musimy mieć bezwarunkowy szacunek. Na swój sposób jest to nielada chwat (the hell of a fellow)“.

O Polakach Hitler niewiele mówił. Przedstawiał nas jako naród marzycieli, niezłomnych patriotów, ale skłonnych do korupcji i nieuczciwości w życiu państwowym. Kraków n.b. w jego pojęciu był miastem czysto niemieckim.

Częstsze są jego uwagi o Czechach, których w młodości swojej poznał lepiej w Austrii. Według niego znaczna część ludu czeskiego była pochodzenia niemieckiego (!), kiedy indziej jednak traktował ich jako Mongołów. Z uznaniem jednak wyrażał się o pracowitości i realizmie Czechów.

Pojęcia religijne Hitlera były dosyć nieokreślone. Wierzył on, zdaje się, w istnienie Boga jako siły rządzącej wszechświatem, ale odrzucał wszelkie instytucje religijne. Chrześcijaństwo w jego pojęciu sprowadziło tylko nieszczęścia na ludzkość. Dla postaci Chrystusa okazywał pewną sympatię, wyrażał przy tym przekonanie, że Chrystus nie był Żydem, że był synem legionisty — Galla (Galilejczyk!) i że zwalczając materializm ówczesny stanął w przeciwieństwie do Żydów, którzy Go za to uśmiercili. Dopiero Paweł z Tarsu nadał chrześcijaństwu inny kierunek — antyelitarny, niemal komunistyczny.

Tego rodzaju hipotezy, jak podobne o pochodzeniu Niemców od Greków starożytnych itp., świadczyłyby o pewnej aberacji w umysłowości Hitlera, wywołanej przeważnie przez jego kompleks uczuciowy, kompleks nienawiści. Tutaj nowoczesna psychoanaliza miałaby szerokie pole do badań.

Zbiór wynurzeń poufnych Hitlera potwierdza opinię o nim jako o indywidualności złowrogiej dla ludzkości, silnej w dziele niszczenia, ale niezdolnej do prawdziwej, wartościowej twórczości. W panteonie postaci historycznych Hitlera postawi się obok Attyli i Dżyngis Chana.

M. Ch.

*) **HITLER'S TABLE TALK 1941 — 1944. With an introductory essay on the mind of Adolf Hitler by H. R. Trevor-Roper. Weidenfeld and Nicolson. London 1953. Stron 746.**

„OSSERVATORE ROMANO“ O POŁOŻENIU KOŚCIOŁA W POLSCE

Od czasu do czasu ukazują się na łamach dziennika watykańskiego „Osservatore Romano“ artykuły omawiające retrospektywnie posunięcia władz komunistycznych w krajach Kościoła Milczenia, jako też dokumenty np. listy Episkopatu w tych krajach i dekrety rządów.

Sprawy Kościoła w Polsce zostały omówione ostatnio w numerach z 15 lutego (po wydaniu przez reżym w Polsce dekretu o obsadzaniu urzędów kościelnych) i 28 czerwca. O pierwszym z tych artykułów pisaliśmy w swoim czasie; obecnie poświęcimy uwagę artykułowi p.t. „Wzrasta ucisk katolików polskich“ („Cresce l'oppressione sui cattolici polacchi“).

Stwierdziwszy w pierwszym zdaniu, że warunki, w jakich żyje Kościół katolicki w Polsce, pogarszają się z dnia na dzień, autor omawia różne metody prześladowania Kościoła, zależnie od tego, czy ludność w danym kraju jest w większości katolicka, czy też jest tylko mniejszością. Prześladowanie oscyluje między dwiema krańcowymi ewentualnościami: okrutne męczeństwo w Albanii i gnębienie legalistyczne w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Omawiając stosunki w Polsce, autor stwierdza, że w początkach prześladowania w Polsce „oszczercza propaganda robiła wszystko możliwe i niemożliwe, kłamiąc, dla przekonania naszych braci, że Rzym był nieprzebłaganym nieprzyjacielem narodu, w nadziei, że uczucie patriotyczne zepchnie katolików na drogę odszczepieństwa“. Gdy to się nie udało, nastąpiły naciski na duchowieństwo i biskupów i uderzenie w „Caritas“. Porozumienie między rządem a Episkopatem z 14 kwietnia 1950 r. zostało zawarte, jak autor nie waha się zaznaczyć, wśród okoliczności nie wyjaśnionych po dziś dzień (in circostanze oscure ancor oggi). I wówczas prasa komunistyczna w Polsce i poza Polską głosiła, że Hierarchia zbuntowała się przeciw Watykanowi (la Gerarchia si era ribellata al Vaticano). Nastąpiły mimo to ataki na Episkopat, jako zwiastuny bardzo ciężkich posunięć: aresztowań księży i zakonników, usunięcia administratorów apostolskich w Gdańsku i na Ziemiach Zachodnich, aresztowań biskupów. W tym samym czasie wzrastała propaganda ideologiczna, łącznie z nauczaniem ateizmu w prywatnych szkołach zakładanych lub powierzanych Towarzystwu Przyjaciół Dzieci. Na początku obecnego roku proces krakowski i inne miały wykazać zdradę ojczyzny przez wyższe duchowieństwo i skłonić zarówno niższe, jak i wyższe duchowieństwo do przyjęcia wymagań rządu dla uniknięcia gorszych następstw. „Rząd warszawski jest więc zdaje się spragniony odzyskania straconego czasu i zrównania się jak najprędzej z innymi „demokracjami ludowymi“. Bezpośrednim celem jak zwykle: albo z biskupami albo przeciw biskupom ustawić duchowieństwo w jednym szeregu, uczynić z niego klasę funkcjonariuszów państwowych w służbie ateizmu komunistycznego, ażeby wraz z innymi funkcjonariuszami gnębiła naród polski.“ Tę część retrospektywną kończy autor: „W Polsce Kościół przeżywa coraz cięższe godziny, a perspektywy na przyszłość są posępne.“

Do tego czasu wrogowie Kościoła w Polsce mogli głosić, że kłamliwie mówi się o prześladowaniu. Wszak w ostatnim Wielkim Tygodniu uczestnictwo w kościołach nie tylko starszych osób, ale i młodych było tak masowe, jak nigdy dotąd, a procesja święto-stanisławowska w Krakowie prowadzona przez Kardynała Prymasa była wielkim tryumfem. Nie mówi się jednak o tym, jakie przeszkody stawiano studentom, urzędnikom i robotnikom pragnącym wziąć udział w procesji i że w Wielki Piątek urządzono bale i rozdawano na nie darmowe bilety wstępu. „I im bardziej głębokie i żywe jest uczucie religijne, tym bardziej twardymi i nieprzejednanymi okazują się władcy. Może wydawać się to paradoksem, choć nim nie jest: że właśnie ostatnie wielkie świadectwa wiary Polaków pobudzają rządców Warszawy do bardziej zdecydowanej akcji. W ten sposób stopniowo warunki, które wydawały się mniej ciężkie niż w innych „demokracjach ludowych“, pogarszają się gwałtownie.“

Z kolei omawia autor artykułu obszernie interpretację przez radę ministrów dekretu o obsadzaniu urzędów kościelnych, następstwa dekretu i przysięgę składaną przez duchowieństwo.

Artykuł kończy się w znamienny sposób:

„W Warszawie, w dzień Bożego Ciała, kardynał Wyszyński ze spokojem i nieustraszoną mocą mówił o nie dającym się tolerować zamachu. Przypomniał, że we wszystkich wiekach Kościół walczył przeciwko usiłowaniu wbijania klinów między kapłanów i wiernych, między kapłana i biskupa. Hierarchia polska pójdzie za przykładem, jeśli będzie konieczne, aż do zaświadczenia krwią, ponieważ w przeciwnym razie Kościół przestałby być katolickim. Naszą drugą ojczyzną jest Rzym — powiedział — ponieważ w Rzymie jest Pierwszy Kapłan, Ten, który otrzymał władzę od Jezusa Chrystusa: Najwyższy Kapłan Pius XII, nasza Najwyższa Głowa.

„Wszystko to zapowiada, że cięższe godziny przygotowują się dla katolików Polski, dla ich biskupów, dla ich księży. Męka tych naszych braci trwa już od piętnastu lat: dwie inwazje, rząd narzucony przez obcych, który gnębi, nie tylko materialnie, naród i przynosi szkodę jego sumieniu. Nie chcemy czynić przewidywań na najbliższą przyszłość, która rysuje się o tyleż bardziej ciemna, niż przeszłość. Ale wszyscy, którzy wierzą w Boga i w wyzwoleńczą siłę chrześcijaństwa, powstają przeciwko niesłychanemu gwałtowi moralnemu, którego nie ukrywa hipokryzja żargonu prawodawczego, lecz podkreśla w całej jego dramatycznej grozie.“

W. F.

25-LECIE OFICYNY S. TYSZKIEWICZA

Ta gałąź sztuki graficznej, którą stanowią druki bibliofilskie, odbijane w ograniczonej ilości egzemplarzy (niekiedy w dwóch, a nawet w jednym tylko!) na specjalnym papierze, pięknymi czcionkami i w pięknym układzie graficznym, rozkwitła w krajach Zachodu w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, choć rodowód jej sięga czasów znacznie dawniejszych. W Anglii zakłady graficzne tego typu noszą nazwę „Private Presses“; do najlepszych i najbardziej znanych należą: Golden Cockerel Press, Nonesuch Press, Kelmscott Press, Cresset Press, Shakespeare Head Press, Ashendene Press.

I w Polsce istniało przed wojną kilka zakładów graficznych tego typu, wytwarzających często rzeczy bardzo piękne, choć oczywiście nie dysponujących w zakresie wyposażenia zewnętrznego, okładek itd. takimi możliwościami, co „drukarnie prywatne“ we Francji, Włoszech, Wielkiej Brytanii czy w Niemczech. Równo zaś ćwierć wieku temu Polak, Samuel Tyszkiewicz założył we Florencji swą słynną Oficynę, która mimo wszystkich wojennych perypetii jej twórcy i właściciela przetrwała szczęśliwie po dzień dzisiejszy.

W związku z udzieleniem Oficynie nagrody Oddziałów Wartowniczych zorganizowana została w Instytucie im. Sikorskiego w Londynie wystawa, która dała bardzo interesujący przegląd plonu wydawniczego tego ćwierćwiecza.

Imponująco przedstawiał się dział pierwszy wydawnictw z lat 1928-1939. Są to przeważnie foliały dużego formatu, obejmujące dzieła w języku polskim, włoskim, angielskim i francuskim. Znalazła się wśród nich książka Maryli Tyszkiewiczowej o rzeźbach Bernarda Rosselino oraz monografia starej Florencji, pióra samego właściciela Oficyny, ozdobiona drzeworytami Cieślewskiego. Z Florencją oczywiście związany jest także pięknie wydany w r. 1934 przekład „Życia Nowego“ („Vita Nuova“) Dantego — przekład dokonany przez tłumacza „Boskiej Komedii“ i znakomitego romanistę Edwarda Porębowicza.

Nie brak było i dzieł literatury polskiej. Tu na plan pierwszy wysuwały się „Sonety krymskie“ Mickiewicza, wydane przez Tyszkiewicza zarówno w oryginale polskim, jak we włoskim przekładzie Oskara Skarbek-Tłuchowskiego. Był tu dalej szereg przepięknych wydań wierszy poetów zarówno polskich (E. Zegadłowicz, J. A. Teslar), jak włoskich (Elio Sodi, P. E. Poesio).

Uderzały wspaniale wykonane dyplomy Uniwersytetu Florenckiego, utrzymane w stylu renesansowym. Zamówienie na stałe sporządzanie tych dyplomów otrzymała Oficyna Tyszkiewicza w r. 1932 i fakt ten podmurował jej materialną egzystencję.

Po wybuchu wojny w r. 1939 nastąpiła, krótka zresztą, przerwa w działalności Oficyny, spowodowana zgłoszeniem się Tyszkiewicza do służby w obozie polskim w Coëtquidan. Brał on tu czynny udział w założeniu tygodnika żołnierskiego „Polska Walcząca“ wespół z Tymonem Terleckim. Później w r. 1940 udało mu się uruchomić swą Oficynę w Nicei, gdyż wobec warunków wojennych nie można było zrobić tego we Florencji. Okres nicejski, obejmujący lata 1940-1945, stanowił drugi dział wystawy. Znajdowały się tam przede wszystkim wydania utworów poetów polskich, m. i. „Barbakan warszawski“ K. Wierzyńskiego, „Razowy epos“ J. Brzękowskiego, „Spotkanie z Muzą“ J. Paczkowskiego, „Z dymem pożarów“ J. Łobodowskiego. Zwracała uwagę swą szatą zewnętrzną książka do nabożeństwa dla Polaków rozsianych po świecie pt. „Pójdźmy za Nim“, opracowana przez Wandę Ładzinę, a także książka dla dzieci Władysława Pelca, ilustrowana przez Witolda Contiego.

Dział trzeci — to druki, wykonywane znów we Florencji, oswobodzonej od najeźdźców niemieckich. Oczywiście w porównaniu z okresem przedwojennym musiały być poczynione spore oszczędności, jeśli chodzi o szafowanie papierem i formatem, niemniej Oficyna utrzymuje w pełni swój wysoki poziom artystyczny. Zwracał uwagę wiersz Norwida „Pożegnanie“ łącznie z jego francuskim oryginałem pióra poety i piosenkarza francuskiego Bérangera, włoska książeczka L. Kociemskiego o Chopinie, poezje religijne Wł. Pelca „Lato Miłościwe“, „Wspomnienia o ludziach i książkach“ T. Terleckiego.

Wystawa obejmowała też druki ulotne Oficyny; w tym zakresie uwagę przykuwała karta z życzeniami dla Alfreda Holińskiego z doskonałą akwafortą K. Brandla, przedstawiającą koziorożca z zodiaku i łucznika.

Wystawa dała świadectwo, że Oficyna Tyszkiewicza poziomem graficznym swej wytwórczości w ciągu ostatniego ćwierćwiecza nie ustępowała znacznie bogaciej od niej wyposażonym zakładom tego typu na Zachodzie Europy, czy po drugiej stronie Atlantyku i życzyć tylko należy, by tę swoją pozycję utrzymać mogła nadal.

TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI

WAŃKA

Pod koniec kwietnia 1946 roku leżałem w amerykańskim szpitalu wojskowym w południowych Niemczech. Wiosenne wiatry dmące wilgotnym chłodem z pobliskich Alp Bawarskich nawiały mi jakichś bólów w kości, odezwała się stara rana w biodrze — pamiątka wrześniowych bojów pod Kutnem — i trzeba było zdecydować się na parotygodniową nudę szpitala. Bo w szpitalu, jak to zawsze w szpitalu: było cicho, czysto i bardzo nudno. Z rana krótka wizyta w gabinecie lekarza, potem jakiś zabieg, jakieś nieważne rozmowy z przygodnymi znajomymi na korytarzu, leżakowanie na tarasie. I tak, na wpół drzemiąc z ilustrowanym jakimś tygodnikiem w ręku, wylegiwałem się po całych dniach w łagodnej pieszczocie wiosennego słońca, w leniwym poczuciu spokoju i ciepła.

W tym stanie obojętnej bezmyślności dopiero po paru dniach zwróciłem uwagę na siadującą obok mnie dziwaczną figurę spowitą jak mumia w bandaże, z głową ukrytą w białej gipsowej skorupie.

— Ten musiał być w nielada awanturze — myślałem sennie, przyglądając mu się od niechcenia — no, no, no!... Z nudów zacząłem się zastanawiać, do czego też można by go było porównać. Ni to nurek w skafandrze, ni to rycerz w hełmie z opuszczoną przyłbicą... Ale nie!... Najbardziej ta postać była chyba podobna do bałwana ulepionego ze śniegu: w białej kuli były nawet przetkane dwa otwory imitujące oczy i szeroka krecha ust.

Pewnego razu spróbowałem rozpocząć z nim rozmowę. Na dźwięk mego głosu gipsowe pudło odwróciło się szybko ku mnie, w czarnych otworach błysnęło światełko oczu — niby w ciemnej norze poruszyło się jakieś ciekawe a płochliwe zwierzątko — ale zaraz potem biała kula opadła znów obojętnie ku dołowi.

— A może on nie rozumie po angielsku? — pomyślałem, powtarzając pytanie w mojej najbardziej paryskiej francuszczyźnie.

Ale efekt był chybiony i tym razem.

Milczeliśmy więc nadal na naszych leżakach, ja drzemiąc z ilustracją w ręku, on sztywny i poważny, jak na śnieżnego bałwana przystało.

Aż któregoś dnia, kiedy oglądałem w amerykańskim piśmie fotografie jakichś sowieckich generałów, obwieszonych łuskami medali i odznaczeń, strzeliła mi nagle do głowy niedorzeczna myśl:

— A możet wy gawaritie pa ruski? — rzuciłem na chybił-trafił w stronę mego sąsiada.

Skutek był nadzwyczajny. Biała kula poderwana gwałtownym ruchem obróciła się ku mnie, w głębi czarnych otworów zamigotały błyski oczu, pod gipsową maską zabulgotały pośpiesznie słowa.

Zanim zdołałem ochłonąć ze zdumienia, już wiedziałem, że mój sąsiad jest sowieckim oficerem, że nazywa się Iwan Iwanowicz jakoś-tam, ale, że wszyscy mówią do niego po prostu Wańka, że znalazł się w szpitalu po katastrofie samochodowej i że traktują go tu wprost haniebnie, trzymają niewiadomo po co i na co już drugi miesiąc w tej przeklętej gipsowej skorupie, a kiedy próbuje protestować, to wszyscy udają, że nie rozumieją po rosyjsku.

Mówił pośpiesznie, bezładnie, jakby chcąc powetować sobie długie tygodnie przymusowego milczenia.

Nagle — w trakcie najżywszej perory — urwał... W otworach gipsowego skafandra znów zabiegało spłoszone zwierzątko:

— A wy skąd umiecie po rosyjsku? — zapytał podejrzliwie.

Zawahałem się, nie wiedząc co odpowiedzieć... I oto zaświtał mi w głowie wspaniały koncept:

— Widzicie — powiedziałem, robiąc tajemniczą i poufną minę — ja jestem Kanadyjczykiem... A u nas w Kanadzie wielu ludzi uczy się potajemnie po rosyjsku, bo my już oddawna oczekujemy, że wy nas oswobodzicie...

Gipsowy hełm powoli odwrócił się ode mnie. Wańka znów zapadł nieruchomo w swój leżak. Dopiero po dłuższej chwili dobiegł mnie jego przytłumiony głos:

— A wot w to ja i nie uwierzę... To już ty, brat, łżesz...

Później słyszałem jeszcze urywane pomruki: — Oszuści... Łgarze... Nigdy od nich prawdy nie posłyszysz... Zawsze tylko chcieliby oszukać człowieka, wykpić, na dudka wystrychnąć...

Myślałem wtedy, że Wańka obraził się na dobre, ale na drugi dzień z rana, kiedy stałem na korytarzu przy oknie, podszedł do mnie i jak gdyby nigdy nic rozpoczął rozmowę, narzekając na szpitalne porządki.

— Coś takiego nigdy nie mogłoby się zdarzyć u nas w Sowietach: u nas takich lekarzy pod sąd by oddano. Bo u nas... Oho!... U nas, brat, nasi uczeni wynaleźli takie sposoby, że człowiek, jak nic, może sobie przeżyć sto pięćdziesiąt albo i dwieście lat! U nas,brat, dbają o człowieka! Osiągnięcia sowieckiej medycyny są wspaniałe! A tutaj co: zwichnąłem sobie coś w karku, jakaś głupia kostka ze swego miejsca zeskoczyła, to te dranie już drugi miesiąc trzymają mnie w tej gipsowej trumnie i wciąż tylko głowami nade mną kręcą! Ot i szpital!... A w ogóle, co to za szpital!... Stajnia jakaś, nie szpital!...

— Ej, czy nie przesadzacie — zacząłem, ale Wańka nie dał mi dokończyć:

— Ot, u nas Pierwszy Komunistyczny Szpital w Moskwie!... Trzeba zobaczyć: pałac, nie szpital!... Wszędzie tam lustra, olbrzymie takie — na całą ścianę!... Kotary aksamitne na drzwiach, dywany, kandelabry, kwiaty w kryształowych wazach — kultura!

Nie bardzo rozumiałem, po co w szpitalu lustra i kotary, ale...

— Czy to tak u was we wszystkich szpitalach? — zapytałem.

— Wot wymyślił! — żachnął się Wańka — we wszystkich!... Też zechciał!... Jakże tak może być we wszystkich? To tylko ten jeden: Pierwszy Komunistyczny w Moskwie. Rozumiesz, żeby ludzie mogli poznać osiągnięcia sowieckiej kultury... Bo to, brat, takiego drugiego szpitala na całym świecie nie ma... Tylko ten jeden: w Moskwie... W całym kapitalistycznym okrążeniu nie ma, a w Moskwie — jest!

— No, dobrze — ciągnąłem dalej, bo bawiło mnie to bajdurzenie — no, więc powiedzmy, że jest taki jeden szpital z tymi lustrami i kotarami, chociaż nie wiem, po jakie licho te lustra potrzebne są chorym... Ale cóż z tego, że jest jeden luksusowy szpital, kiedy są miliony chorych, którzy nigdy się do niego nie dostaną?

— Co z tego? — zaperzył się Wańka — a ot, jak staniesz sobie na ulicy przed tym szpitalem, jak popatrzysz na te marmurowe schody, na rzeźbione drzwi, jak pomyślisz, że tam, za tymi drzwiami, za aksamitną kotarą czeka na ciebie sowiecka medycyna, różne zastrzyki i szczepionki, które wymyślili sowieccy profesorowie, żeby ci życie przedłużyć, jak sobie to wszystko pomyślisz, to od razu i twoje życie wyda ci się weselsze i przyjemniejsze...

Wzruszyłem ramionami, bo nie bardzo wiedziałem, co mu odpowiedzieć na taki nieoczekiwany argument. Staliśmy jeszcze jakiś czas w milczeniu, przyglądając się przez okno spokojnej ulicy niemieckiego miasta.

W łagodnych blaskach słońca szły po niej kobiety z koszykami, bawiły się dzieci. Tylko mężczyzn, młodych silnych mężczyzn nie było na ulicy. Wlokły się za to tu i tam jednonogie i bezrękie wraki ludzkie, szli chwiejnie, postukując przed sobą laskami po chodniku ślepcy o twarzach spalonych ogniem.

Patrząc na ten żałosny pochód ludzkiego nieszczęścia mimo woli wypowiedziałem na głos:

— Mój Boże, co ta wojna narobiła! Tyle zniszczenia, tyle nieszczęścia... Cały świat zaludnił się teraz takimi oto ludzkimi kadłubami... U was w Rosji też pewno jest kalek nie mało? — popatrzyłem współczująco na mego towarzysza.

— Nie ma u nas żadnych kalek — mruknął Wańka.

— Jak to nie ma? Po takich krwawych walkach?

— A ot, nie ma — i już.

— Jakże to możliwe? Przecież byli u was ranni na wojnie, cóż się z nimi stało?

— Byli, byli — wzruszył ramionami Wańka — byli, ale nie ma... A po jakie licho oni komu potrzebni, te kaleki? Cóż z nich za pożytek: ani do wojska, ani do pracy — ciężar tylko dla państwa... A ich życie — cóż to za życie? Męczą się tylko niepotrzebnie!... Nu, jak lekarz widzi, że z takiego nic już nie będzie, to i da mu tam odpowiedni zastrzyk: ot, tak i lepiej... Kaleka — pocóż on komu potrzebny, a ludzi u nas mnogo: wystarczy...

Obojętny ton głosu Wańki był w tak rażącej sprzeczności z niesamowitym znaczeniem wypowiedzianych przez niego słów, że machinalnie podniosłem oczy na jego twarz: czy on kpi, psia krew?!

I dopiero w tej chwili po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że właściwie przez cały czas rozmawiałem z człowiekiem zamaskowanym. Przecież ja nigdy nie widziałem ani jego twarzy, ani oczu...

Przede mną tkwiła nieruchoma, biała skorupa i mimo woli zadawałem sobie pytanie, co się za nią kryje? Czy pod tą maską jest zwykła ludzka głowa, zwykła ludzka twarz zdolna rozjaśnić się uśmiechem, zamroczyć smutkiem, złagodnieć litością i współczuciem, — czy kryje się tam tylko jakiś skomplikowany mechanizm, jakieś tryby i kółka poruszające płytę z nagranymi w moskiewskiej centrali frazesami?

Ale biała maska Wańki pusta była i niema, jak zimowy rosyjski step.

Bez słowa odszedłem od okna, przy którym pozostała nieruchoma, opatulona w bandaże i gipsową powłokę zagadkowa figura: biały bałwan ze śniegu...

Tego dnia do wieczora Wańka nie pokazał się na tarasie. Nie było go widać i przez parę następnych dni.

Za to nazajutrz z rana młody lekarz obmacując moje obolałe biodro powiedział nagle:

— Nie wiedziałem, że pan mówi po rosyjsku, a szkoda... Mógłby pan nam pomóc porozumieć się z tym sowieckim oficerem. Dogadać się z nim nie sposób, a trzeba było mu pewne rzeczy wytłumaczyć.

— Czy to poważny wypadek? — zapytałem.

Doktór roześmiał się:

— Czy poważny? Ależ, panie! Zupełnie wyjątkowy, niepojęty! On przecież miał złamaną podstawę czaszki i zdruzgotane kręgi szyi!... Rozumie pan: zdruzgotane kręgi! Coś fenomenalnego! Słoń od tego zdechłby już dawno, a ten wytrzymał!

Zobaczyłem znów Wańkę dopiero pod koniec następnego tygodnia. Już bez gipsowej swej maski leżał z zamkniętymi oczyma na tarasie. Z nagłą ciekawością wpatrywałem się w tę po raz pierwszy widzianą twarz. Ale nie wyczytałem z niej nic: płaska była, nijaka, bez wyrazu.

W tej chwili Wańka uniósł powieki i zobaczyłem jego oczy: szaro-zielone, zimne, nieruchome, bez tej właściwej oczom ludzkim gry zmieniających się uczuć i myśli, tkwiły one w twarzy niby dwie tafelki przezroczystego lodu. Były tak obojętne, tak bez wyrazu, że aż nie ludzkie: zdawało się, że się patrzy w niewidzące oczy ślepca.

— No, zdjęli nareszcie ze mnie ten przeklęty gips — powiedział Wańka, siadając na leżaku — dziesięć dni trzymali mnie uwiązanego na jakimś draństwie... To się u nich nazywa leczenie! Do łagru by sukinsynów za takie leczenie wysłać...

W pierwszym odruchu chciałem mu powiedzieć to, co posłyszałem od lekarza o jego połamanych kręgach, ale wydało mi się rzeczą tak zupełnie beznadziejną wytłumaczyć mu coś, że dałem spokój. Milczałem więc, a on monologował dalej.

Wydziwiał jeszcze jakiś czas na szpital i na lekarzy, powtarzał w kółko swoje jednostajne frazesy o zakłamaniu, bezideowości i brutalnym egoiźmie kapitalistycznego świata. Z kolei zaczął wychwalać wolne i twórcze życie w Sowietach, rozwodził się nad wspaniałością sowieckiej techniki i nauki. Mówił o sowieckich badaniach atomowych.

— U nas energia atomowa — wystukiwał jak fotograf drewnianym głosem — będzie użyta dla dobra ludzkości, dla ułatwienia życia człowiekowi. A ot, wasi kulturalni Amerykanie tylko bombę potrafili z niej zrobić!

Było coś tak irytującego w tej gadaninie automatu, że przyszła mi złośliwa chęć wytrącenia go z równowagi.

— Opowiadano mi kiedyś — przerwałem mu — że i w Sowietach nie zapominają o bombie atomowej. Podobno nawet wynaleziono już taką specjalną niewielką bombę, która może się zmieścić w zwykłej walizce ręcznej. Wystarczy kilkanaście takich bombek zaopatrzonych w mechanizmy zegarowe zawieźć do większych miast Europy i Ameryki — i w odpowiednim czasie: fiut! — wszystko to zniknie z powierzchni ziemi... Tylko istnieje jeden szkopuł — cieszyłem się już w myśli, jak mój Wańka wybuchnie zaraz oburzeniem — taka jedna malutka przeszkoda: w całej Rosji nie można dostać walizek dla przewiezienia tych bomb...

— A ot i nie prawda — powiedział spokojnie Wańka — u nas w Moskwie dostaniesz walizek skolko ugodno. Ja sam widziałem na wystawie: ładne walizki, eleganckie, fibrowe, z metalowymi okuciami. Ot, gadasz czort wie co, ale ja wiem, że to nieprawda, że to wasza propaganda antisowiecka.

I dodał półgłosem, jakby już tylko do siebie:

— A za takie gadanie to i do łagru przejechać się można... I słuchać takich rzeczy nie trzeba, bo i za słuchanie też oberwać można...

Mówiąc to rozejrzał się podejrzliwie wokoło, jakby chcąc się upewnić, że nikt nie podsłuchał naszej rozmowy.

Ale poza nami nikogo nie było na tarasie. Tylko na balustradzie podskakiwała beztrosko modrawa sikorka, przekrzywiając ciekawie główkę i strzelając ku nam czarnym oczkiem.

Wańka poruszył się na leżaku.

— Wot swołocz — mruknął, patrząc ze złością na ptaszka — jak to się przekrzywia, kanalia, jakby się wyśmiewała z człowieka. Ech, nie mam pod ręką mojej nahajki: ot, jakbym trzasnął w ten durny łeb, to by odechciało się jej skakać... Poszła won, swołocz! — zamachnął się na sikorkę.

Przysłoniłem się gazetą, udając, że jestem pilnie zajęty czytaniem, bo czułem, że gdyby teraz Wańka odezwał się do mnie, nie wytrzymam i zrobię jakąś idiotyczną awanturę. Niech szlag trafi tego sowieckiego robota! Nie chcę znać więcej bydlaka. Pewny byłem, że już nigdy nie zamienię z nim słowa.

A jednak rozmawiałem z nim jeszcze raz...

Było to już pod koniec maja, wiosna była w pełni. Stałem na tarasie, sypiąc na balustradę okruszyny chleba, które wydziobywała mi spod ręki sikorka. W ogrodzie pałały czerwienią grzędy tulipanów, za nimi kłębiły się, jak ciężkie dymy z kadzielnicy, bzy: białe, liliowe, różowe...

Patrząc na nie myślałem z melancholią, że takich bzów pełno było zawsze w Warszawie. Łazienki, Ogród Botaniczny, stragany na rogach ulic kwitnące rosistymi bukietami... och, czy jeszcze zobaczę to kiedy?

W tęskliwej zadumie patrzyłem na rozkwiecony ogród, błąkając się myślami po warszawskich ulicach, kiedy dobiegł mnie nagle głos Wańki:

— No, wypisali mnie nareszcie ze szpitala, jutro wyjeżdżam...

Popatrzyłem na niego ze smutną zazdrością:

— A więc wracacie już... do domu... do swoich...

— Do swoich? — zaskrzeczał Wańka szyderczym i urągliwym chichotem. — To ci się udało!... No nie, brat, na powrót mnie nie nabiorą!

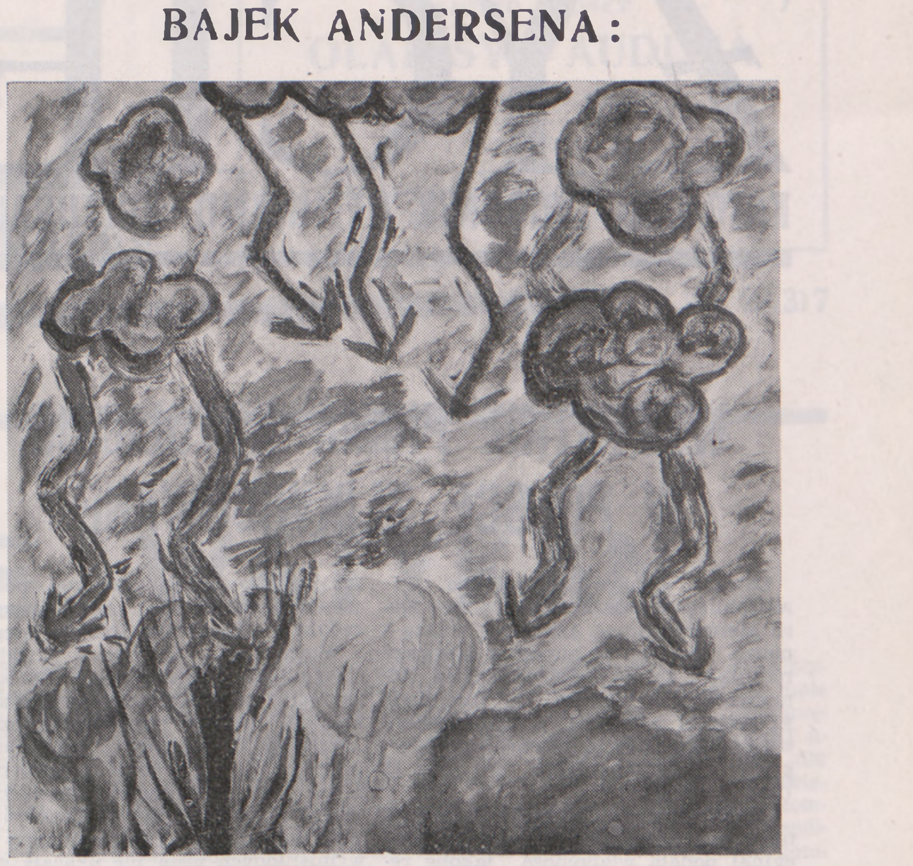
Wlepił we mnie martwe źrenice, które powoli zaczęły nalewać się złą wzgardą.

— Ech ty, Kanadyjczyk! — wycedził przez zęby — co ty wiesz, co ty rozumiesz! U was tu wszystko takie miękkie, delikatne, ptaszki, uśmiechy, życzliwości... Ale co ty wiesz o życiu, o prawdziwym życiu, o naszym, sowieckim?... Tam, brat, uśmiechem się nie wykręcisz, tam żartów nie ma, tam rządzi siła, bo siła to my — sowieckij narod! I ja wiem, że ta siła musi podbić cały świat, że te wasze Europy i Ameryki — to wszystko ugnie się przed naszą siłą. A wtedy — kaput ptaszkom i uśmiechom, wtedy, brat, nie do uśmiechów będzie! I ja wiem, że tak musi być i że tak będzie! Tylko, czy ty rozumiesz, czy ty to potrafisz zrozumieć, że zanim oni tu przyjdą, ja chcę też trochę skosztować ludzkiego życia!... Choć kilka, choć by parę lat żyć jak człowiek?!

— Bo ja — zaciął się i zatrzymał, aż krzyknął nagle, jakby sam olśniony tym niezwykłym odkryciem — bo ja też jestem człowiek... Rozumiesz? Człowiek!

Tadeusz Zajączkowski

MALOWALI SŁUCHAJĄC BAJEK ANDERSENA:



WŁADYSŁAW KRAWCZYK (lat 13)



IRENA FILIPOWICZ (lat 12)



EDMUND WEBER (lat 11)

BAJKI H. CH. ANDERSENA

Amerykańskie technikolory nie zawsze cieszą oko. Lecz biografia wielkiego twórcy, inscenizowana jak bajka, którą widziałam w kinoteatrze londyńskim ma dużo wdzięku, szczególnie w początkowych scenach.

Młody szewczyk patrzy przez okno w ulicę, oczarowany pięknem świata. Barwne jest wszystko: przechodnie, handlarze, uliczki, pojazdy, z których jak ptaki z gniazd wyglądają ślicznie ubrane panie. Szewczyk gwiżdże wesoło w takt wbijając kołki. W głowie mu szumi. Czasem przez pomyłkę dwa lewe buty klientowi dostawi. Jakże się gniewać na pijanego radością życia Hansa Christiana Andersena?

Jeden tylko obywatel wioski się sroży. Napróżno pan nauczyciel rano u progu szkoły staje, dzwonkiem potężnie macha. Dzieci nie ma. Dzieci jak stado wróbli wyfrunęły daleko, nad brzeg stawu. Szewczyk Andersen wymknął się z warsztatu i opowiada im bajki. Białe łabędzie płyną po stawie. Opodal stoi chudy, nieśmiały, odtrącony przez kolegów chłopczyk. Christian zaczyna historię brzydkiego kaczęcia, które się okazało łabędziem. Chłopiec zbliża się wolno, płochliwie, głowę na długiej cienkiej szyi o ramię Andersena opiera. Szara, smutna twarzyczka rozkwita urodą radości.

Radni miejscy, którym nauczyciel się skarży, nie mogą pozwolić na takie swawole. Zapędzają dzieciarnię do szkoły i już tylko przez zaryglowane drzwi dochodzi Andersena skandowane chórem: „jeden a dwa jest trzy, trzy a trzy jest sześć".

Nie brak i dziś pedagogów, którzy radzi by usunąć bajkę z wieku oświeconego bombą atomową. Lecz bajka, wbrew wszystkiemu, każdemu dzieciństwu rozkwita i lśni jak kwiat paproci w noc świętojańską.

Odnaleźli ją wychowawcy tak wielcy jak Baden Powell, który z pomocą Very Barclay osadził najmłodszych kandydatów na harcerzy w świecie „Księgi Dżungli", punkcie geograficznym, gdzie czują się najlepiej, mocą bajki przeistoczeni w wilczęta.

Wołanie o bajkę słyszy się i od wielu starszych chłopców. Hans Christian Andersen nie przestał czarować. Zdarza się gromadom wcale rosłych i hałaśliwych wilcząt milknąć jak makiem zasiał na jego głos.

Zasłuchali się twórczo. Zareagowali szeregiem obrazków o uderzającej oryginalności, w których pulsuje ich zachwyt.

Redaktor Bielatowicz pyta o metody, jakimi się do takich obrazków doprowadza. Metody? Dać im po prostu rozmawiać z Andersenem, ogólnie mówiąc — otworzyć im na oścież drzwi do świata sztuki.

Olbrzymiej doniosłości jest zdanie Malraux: „Tout art nait d'un pastiche passioné". Wszystko o genezie sztuki w człowieku mówi ustęp z jego „Voix du silence": „Jest znamiennym, że żaden wielki artysta nie zachował pamięci innego źródła swego powołania, jak wstrząs kontaktu z dziełem sztuki: teatrem, wierszem lub powieścią, obrazem... „Ja także będę malarzem!" — to okrzyk wzbierający w iskrze pierwszego kontaktu młodej wrażliwości — z artystą."

Rozpędem wywodzącym się z wieku oświecenia idącym poprzez Comte'a, Durkheima ku marksizmowi, człowiek jest pchany coraz wyłączniej w kierunku tworzenia maszyny i służenia jej. Tak ukształtowany uznał za najistotniejsze zadanie wobec dziecka przymusowo zaznajomić je, w kontakcie z naukowcem, z formułą, która je do tej służby uzdolni.

Lecz człowiek nie jest samym intelektem. Jest intuicją, wrażliwością, wyobraźnią. I kaleczeje śmiertelnie, pozbawiony kontaktu z ostatnią redutą niezmechanizowanych sił twórczych: ze sztuką.

Zamiast Redaktorowi posyłać traktat o metodach dydaktycznych w sztuce — sam ten tytuł by jej treść zabił — posyłam mu drobny ustęp z „Endymiona" Keatsa, wierząc, że jego właśnie stać na nieistniejące dotąd przetłumaczenie.

• • •

Metody: nie dopuścić, by oczy dziecka zamknęły się na piękno stworzone przez Boga, wyczuwane, wyrażane, przekazywane z pokolenia w pokolenie przez artystów, w dziwnym tajemniczym związku sztuki z modlitwą. Sztuka zrodziła się z religii, a zamiera pod naporem sił materializmu dławiącego obraz i podobieństwo Boże w człowieku.

T. Skórzewska

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 12 lipca 1953

WSZYSTKIE PISMA KATOLICKIE W POLSCE ZLIKWIDOWANE

Ostatni numer „Tygodnika Powszechnego", organu Krakowskiej Kurii Metropolitalnej, ukazał się z datą 8 marca 1953. Był to numer 8 bieżącego rocznika i 414 od założenia pisma. Zamieszczono w nim m. in. instrukcję Episkopatu Polski p. t. „Duchowieństwo polskie w życiu własnego narodu", które przedrukowaliśmy w nrze 16 (304) ŻYCIA.

Dalsze numery „Tygodnika Powszechnego" nie wyszły. Część prasy emigracyjnej podała wiadomość jakoby redaktor „Tygodnika Powszechnego" Jerzy Turowicz został osadzony w więzieniu. Wiadomość ta nie jest potwierdzona i raczej wątpliwa. Byłoby naprawdę trudno znaleźć bezpośredni powód uwięzienia redaktora tygodnika, który stojąc zawsze twardo na gruncie nauki Kościoła katolickiego wykazywał też stale zrozumiałą lojalność wobec władz komunistycznych w Kraju. W prasie emigracyjnej spotykaliśmy skutkiem tego częste ataki na redakcję „Tygodnika Powszechnego".

Wydaje się, że wraz z likwidacją „Tygodnika Powszechnego" dokonano zamachu na wszystkie inne pisma katolickie. Ostatni numer miesięcznika „Przegląd Powszechny", wydawanego przez oo. jezuitów nosił datę stycznia b. r., ostatni numer miesięcznika „Znak", wydawanego w Krakowie — też z datą lutego b. r. Dalsze numery obu wymienionych pism nie ukazały się.

Wychodzą jeszcze nadal w Warszawie dwa pisma reżymowych katolików, mianowicie dziennik „Słowo Powszechne" i tygodnik „Dziś i Jutro". Oprócz tego komuniści wydają pisma całkowicie sobie powolnych marionetek spośród kleru, t. zw. „księży-patriotów", które są organami walki z hierarchią Kościoła katolickiego w Polsce.

KRYTYCY ANGIELSCY O POWIEŚCI PIETRKIEWICZA

Powieść Jerzego Pietrkiewicza „The Knotted Cord", która ukazała się w pierwszej połowie czerwca nakładem firmy Heinemann, jednej z czołowych londyńskich firm wydawniczych, wywołała na łamach prasy angielskiej szereg omówień, często spod pióra wybitnych krytyków.

W „Observerze" z dnia 14 czerwca Dawid Paul podkreśla, że autor książki przybył do Londynu po raz pierwszy w r. 1940 i że jest to pierwsza jego rzecz w języku angielskim, a angielszczyzna ta jest równie jasna, jak swoista w wyrazie (as lucid as peculiar).

„Jest to epizodyczna, autobiograficzna opowieść o dzieciństwie w Polsce północno-zachodniej w latach dwudziestych naszego stulecia. Bronek jest ostatnim dzieckiem starzejącej się matki, która w czasie ciężkiej jego choroby poświęca go św. Antoniemu, którego brunatny habit ma on nosić przez trzy lata po swym wyzdrowieniu, jak nakazuje uczyniony ślub. Dzieje tych lat przenoszą czytelnika do świata doprawdy odległego od nas, ale, jak się zdaje, tym bardziej autentycznego. Pobożność, przesądy, surowe obyczaje, wytrwałość i namiętność ludzka — wszystko to obserwowane jest intensywnymi lecz chwytającymi prawdę oczyma dzieciństwa. Tylko niektóre z epizodów koniecznych nie dorastają do poziomu. W innych długa pamięć rasy i kultury zdaje się oświetlać każde wydarzenie... Powieść ta zasługuje na zanotowanie także jako część nowego przedsięwzięcia wydawniczego. Styl i wyposażenie zewnętrzne wykraczają znacznie ponad poziom przeciętny — za nieco tylko więcej od połowy normalnej ceny."

Do tych uwag recenzenta „Observera" dodać należy, że cena książki jest istotnie wyjątkowo niska, wynosi bowiem 7 szyl. 6 d., podczas gdy powieść tych rozmiarów kosztuje zwykle 12/6 lub nawet więcej.

Z wielkim uznaniem pisze o powieści Pietrkiewicza znany krytyk Richard Church w swym tygodniowym przeglądzie nowych powieści na łamach „John O'London's Weekly" (z dnia 19 czerwca). Zaznacza on na wstępie, że na przedmiot swego omówienia wybrał tym razem powieści których szczególnym znamieniem jest jasność (clarity). Do nich zalicza rzecz Pietrkiewicza. Church streszcza fabułę powieści i zauważa: „Opowiadanie to wzbogacają liczne sceny, wyróżniające się niezwykłym pięknem (exquisite beauty)".

Recenzent „The Sphere" (z dnia 20 czerwca) Vernon Fane chwali, podobnie jak inni krytycy język powieści. „Przez trafne posługiwanie się właściwościami (idioms) języka angielskiego — pisze — równie jak przez siłę swej wrażliwości „The Knotted Cord" jest powieścią niewątpliwie wyróżniającą się. Opowieść ta... stanowi przenikliwe studium, które mówi nam wiele o ludności wiejskiej w Polsce, a więcej nawet jeszcze o talencie p. Pietrkiewicza".

Nie tak życzliwa jest recenzja w „Times Literary Supplement" (anonimowa, jak to jest zwyczajem w tym tygodniku), ale i w niej znajdujemy szereg sformułowań przychylnych. „P. Pietrkiewicz — pisze recenzent — jest poetą, toteż „The Knotted Cord" stanowi powieść poety, któremu należy pogratulować jego sposobu posługiwania się językiem angielskim". Recenzent chwali też realizm opisu życia wiejskiego w Polsce.

Jeden z najwybitniejszych krytyków angielskich gratuluje firmie Heinemann na łamach „New Statesman and Nation" (z dnia 27 czerwca) wyboru powieści, jaką zainicjowała ona swój nowy cykl. „The Knotted Cord" — pisze Allen — jest „dziełem wybitnie się wyróżniającym". Pietrkiewicz ujął swój przedmiot w „prozę klarowną i przejrzystą".

„Smith Trade News" w zeszycie z 6 czerwca ogłasza biografię Pietrkiewicza oraz uwagi o nim, skreślone przez dyrektora firmy Heinemann, A. S. Frere, a zatytułowane „O autorze — przez jego wydawcę". Frere zaznacza, że powieść ma prawdopodobnie pewne usterki, co jest nieodłączne od pierwszego występu. „Osobiście jednak — pisze dalej — znajduję w tej powieści walor poetyckiej subtelności, który jest trudno określić, ale który dostatecznie wyjątkowy jest w beletrystyce, by go nie zaznaczyć jako rzeczy rzadko napotykanej i by nie wierzyć, że znajduje się tu talent, zasługujący na wszelkiego rodzaju zachętę i poparcie".

Ukazanie się książki Pietrkiewicza notuje też przychylnie felietonista „Daily Telegraph" Peterborough (w nrze z dnia 20 czerwca).

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Proces Christiego, mordercy siedmiu kobiet, wywołał znów dyskusję na temat kryteriów, niezbędnych do uznania przestępcy za obłąkanego.

„Wedle przepisów M'Naghtena — stwierdza „Observer" — przepisów zredagowanych ponad sto lat temu, kiedy wiedza lekarska była jeszcze stosunkowo prymitywna, człowiek jest z punktu widzenia prawnego obłąkanym tylko w tym wypadku, gdy albo nie wie, co czyni, albo też nie wie, że to co czyni jest złe. Od tego czasu wiedza lekarska stwierdziła jednak, że człowiek może wiedzieć zarówno co czyni, jak to że czyni rzecz złą, a mimo to nie być zdolnym do powstrzymania się od przestępstwa wskutek chorobliwego stanu swego mózgu — stanu, który po prostu usuwa pewne działania spod kontroli władz umysłowych. Fakt, że nasze prawodawstwu uchyla się od uznania tej naukowo udowodnionej możliwości, jest sprawą, która zakłóca sumienie wielu ludzi."

Uwagi „Observera" nasuwają jedną zasadniczą refleksję: czy w ogóle będzie można kiedykolwiek stwierdzić z całą pewnością, że ktoś z powodu patologicznego stanu swego mózgu istotnie był niezdolny powstrzymać się od popełnienia zbrodni? Uczony włoski Cesare Lombroso już kilkadziesiąt lat temu w dziele „L'uomo delinquente", wydanym w r. 1876, rozwijał tezę, że człowiek może urodzić się już z pewnymi skłonnościami zbrodniczymi, których niezmiernie trudno mu opanować. I jeśli nawet trudno jest dowieść, że czynnik woli nie jest zdolny tych skłonności utrzymać na wodzy.

Autor uwag w „Observerze" pisze, że „zabijanie kobiet dla zadowolenia zwyrodniałego instynktu płciowego wykazuje taki stopień niepohamowania, że stopień ten sklasyfikowany być musi jako obłęd". Sformułowanie to nie wydaje się bardzo przekonywujące. W wypadku Christiego bezkarność, jakiej zbrodniarz zażywał przez tyle lat, mogła być czynnikiem popychającym go silnie w kierunku popełniania nowych zbrodni. Fakt, że przestępstw takich popełnionych zostało w ogóle w ostatnich latach szczególnie dużo, mógł w rezultacie oddziałać zaraźliwie na umysłowość różnych zbrodniarzy. Któż jednak zdolny jest stwierdzić, że działali pod wpływem impulsu, nie dającego się opanować lub niepodlegającego w ogóle świadomej kontroli władz umysłowych?

„ODBUDOWA" KRAJOBRAZU WALIJSKIEGO

Walia, jej góry i doliny są niewątpliwie pod względem krajobrazowym najpiękniejszą częścią Wysp Brytyjskich. Niestety w okresie tzw. rewolucji przemysłowej krajobraz ten ucierpiał bardzo poważnie przez wyniszczenie lasów, stworzenie licznych kamieniołomów i budowę szpetnych urządzeń kopalnianych i fabrycznych. Od pewnego jednak czasu podjęto zarządzenia, mające na celu naprawę wyrządzonych szkód.

Ostatnio Princess Royal, to jest siostra zmarłego króla Jerzego VI, odsłoniła na szczycie jednej z gór kamień z napisem upamiętniającym stworzenie nowego, dużego obszaru leśnego, zwanego po walijsku „Coed Morgannwy", a po angielsku „Glamorgan Forest". Obszar ten tworzyć poczęto w Margam w r. 1921: połączył on siedem mniejszych lasów i pokrywa obecnie 53 mile kwadratowe. Kiedyś toczyły się tam walki między Celtami a Rzymianami, później zbudowane zostało opactwo cystersów i nowe osiedla ludzkie.

„Goed Morgannwy" jest obszarem leśnym o tyle niezwykłym, że położony jest w okręgu o dużej ilości ciężkiego przemysłu i górnictwa. Wzdłuż południowej granicy „Coed Morgannwg" wznoszą się nowe stalownie w Margam, a w obrębie samego obszaru leśnego znajduje się kilka największych kopalń węgla w hrabstwie Glamorgan.

Równocześnie z zalesianiem tych obszarów prowadzona jest akcja osiedlania w nich robotników leśnych, których zadaniem jest dostarczanie pali i belek drewnianych, potrzebnych kopalniom węgla. Kolonizacja ta poczyniła już duże postępy.

SZEKSPIR I SHAW W LONDYNIE

Poza trwającym nadal sezonem szekspirowskim w Stratford-on-Avon, i w Londynie granych jest kilka utworów Szekspira. W teatrze „Old Vic" bristolski (bo jest i taki poza londyńskim) zespół „Old Vic" gra „Henryka V". Zespół „Mermaid" wystawia obecnie „Makbeta" z Bernardem Milesem w roli głównej. W teatrze „Westminster" zespół „The Elizabethan Theatre Company" daje „Juliusza Cezara". Wreszcie w Regent's Parku grane są pod gołym niebem „Stracone zachody miłości".

W Teatrze „Haymarket" grany jest „The Apple Cart" G. B. Shawa, sztuka, której prapremiera pt. „Wielki kram" odbyła się kiedyś w Warszawie. Obok tego w „Arts Theatre" wystawiono inną sztukę Shawa „Arms an the Man"; główną rolę gra Alec Clunes. Recenzent „Sunday Times" Harold Hobson uważa sztukę tę za „smętnie przestarzałą". „Robić satyrę z romantycznego poglądu na wojnę — zauważa Hobson — jest równie „współczesne", jak żartować sobie z krynolin".

Nie po raz pierwszy wypowiedziany został tu pogląd, że bardzo wiele sztuk Shawa nie wytrzymuje próby czasu i dlatego wyznaczanie mu trwałego miejsca w literaturze dramatycznej świata, jakie zajmują Szekspir, Molier czy inni wielcy dramatopisarze, jest wysoce ryzykowne.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

Jerzy Dołęga-Kowalewski ROZPRAWY POETYCKIE (1939-1952). Drzeworyty art. grafika Stefana Barana. Oficyna Poetów i Malarzy. Na emigracji w Anglii (Tunbridge Wells), 1953. Wydanie bibliofilskie, wydano 345 numerowanych egzemplarzy, arkusze niezszywane, okładka kartonowa ilustr. dwubarwna. Strona 102.

Władysław Bełza zebrał... DZIECI POLSKIE W DAWNYCH CZASACH. 24 obrazki z dziejów naszych, z 10 rysunkami Walerego Eliasza. Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas". Londyn 1953. Przedruk z wydania Gebethnera i Wolffa, Kraków 1907. Stron 206, płócienna okładka.

Jerzy Pietrkiewicz THE KNOTTED CORD. Novel. William Heinemann Ltd. Melbourne, London, Toronto. First published 1953. Stron 268. Twarda okładka z tłoczonym tytułem, trójbarwna. Obwoluta barwna ilustr.

A. Kotiużyński SOWIETYZACJA ROLNICTWA W POLSCE.Studia Krajowe. Instytut Badania Zagadnień Krajowych t. II. Stron 90, okładka dwubarwna.

Stefan Mękarski „MYŚL FILOZOFICZNA" KOMUNISTÓW W POLSCE. Studia Krajowe. Instytut Badania Zagadnień Krajowych t. I. Londyn 1953. Stron 36, okładka dwubarwna.

Jules Laroche, Ambassadeur de France LA POLOGNE DE PILSUDSKI. Souvenirs d'une ambassade 1926-1935. Paris, Flammarion 1953. Str. 236.

THE SOVIETIZATION OF CULTURE IN POLAND. Collective Work. Mid-European Research and Planning Centre, 6 Quai d'Orleans, Paris IV. 1953. Stron 208.

Bohdan Łączkowski EMIGRACYJNE ROZDROŻA. Paryż 1953. Skład główny: Księgarnia Polska. Stron 144.

Stanislaw Mackiewicz (Cat) ZA KULISAMI REZYGNACJI PREZYDENTA. Nakładem autora. Londyn 1953. Stron 16.

Wiesław Wohnout OD KLĘSKI — KU NADZIEI. W trzechlecie powstania Skarbu Narodowego. Biblioteczka polityczna „Spraw Polskich" nr. 2-3. Londyn 1953. Stron 62.

E. Legé, „Commandant Louis" J'ÉTAIS UN PARTISAN. Préface du general Anders. Nice 1953. Stron 248, ilustr. dwubarwna okładka z motywem Krzyża Lotaryńskiego i Orła Białego.— Książka dedykowana: A mes chefs — Les Généraux De Gaulle, Anders, Bór-Komorowski, qui m'ont sauvé de la honte et de la servitude.

DOKTORAT POLAKA NA UNIWERSYTECIE AMERYK.

W dniu 8 czerwca b.r. uzyskał stopień doktora uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie Jerzy Jan Lerski na podstawie pracy p. t. „Stany Zjednoczone i uchodźcy polscy w r. 1831". Praca oparta jest głównie na materiałach zebranych przez niedawno zmarłego, słynnego historyka amerykańskiego Mieczysława Haimana i stanowi cenny wkład do historii obu narodów.

Jerzy J. Lerski pochodzi ze Lwowa, gdzie urodził się w r. 1917.

Związek Ziem Południowo-Wschodnich prosi członków, zwłaszcza lwowiaków o nadsyłanie piosenek lwowskich lub o Lwowie, w miarę możności z nutami.

Adres: 18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.

Ś. P. STANISŁAWA PIETRASZKIEWICZÓWNA

Z Wilna otrzymujemy spóźnioną wieść o śmierci ś. p. Stanisławy Pietraszkiewiczówny, zasłużonej działaczki na polu społecznym, naukowym i oświatowym.

Urodzona w Wilnie 17 czerwca 1884 r., była córką znanego na gruncie wileńskim lekarza, dra Jana Pietraszkiewicza i Antoniny z Chądzyńskich.Odebrawszy staranne wychowanie, rozpoczyna w r. 1902 pracę w polskim szkolnictwie tajnym w Wilnie, poczem odbywa studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie i, po powrocie do Wilna, jest nauczycielką języka polskiego, wprowadzonego na skutek wypadków r. 1905 do szkół wileńskich w charakterze przedmiotu nadobowiązkowego dla uczniów Polaków.

Podczas pierwszej wojny światowej i w okresie tworzenia się niepodległości, bierze niezmiernie czynny udział w pracy społecznej, niepodległościowej i religijnej. Należy do Ligi Kobiet, pracuje w POW, jest jedną z założycielek Sodalicji Mariańskiej w Wilnie. W jej domu przy ul. Wileńskiej, podczas wojny, w latach 1915-20, zgromadzenie ss. nazaretanek w Wilnie, na wpół ukrytych wówczas na gruncie wileńskim i nie noszących jeszcze habitów, prowadzi gimnazjum dla dziewcząt oraz szkoły miejskie wydziałowe dla chłopców i dziewcząt.

Zmarła była prawnuczką przyjaciela Mickiewicza, filomaty Onufrego Pietraszkiewicza („kochanego Nufra", jak go nazywał Mickiewicz) i uważała siebie za spadkobierczynię ideałów filomackich i filareckich. Z pietyzmem wielkim przechowywała skarb bezcenny: uratowane przez Onufrego Pietraszkiewicza, ukrywane przed czujnym okiem policji i konfiskatą w paru pokoleniach rodziny Pietraszkiewiczów, archiwum filomatów. Przekazała je wreszcie po roku 1905 dla studiów naukowych Akademii Umiejętności w Krakowie i stąd to Józef Kallenbach wydobył wydane przez siebie później, w r.1909, a nieznane owego czasu pisma Mickiewicza z młodzieńczej epoki jego twórczości.

Sama ś. p. Pietraszkiewiczówna opracowała na podstawie materiałów z tegoż archiwum i ogłosiła drukiem (w r. 1912) cenną książkę p. t. „Dzieje Filomatów w zarysie", tudzież była współwydawczynią „Materiałów" do dziejów Twa Filomatów. Najcenniejsza perła „archiwum filomatycznego", mianowicie własnoręczny pierwopis „Ody do młodości" Mickiewicza, za jej sprawą złożony został, jako depozyt Funduszu Kultury Narodowej, w zbiorach Twa Przyjaciół Nauk w Wilnie i aż do roku 1941 zdobił „kącik Mickiewiczowski" Muzeum tegoż Towarzystwa. Czy i gdzie istnieje obecnie, nie wiadomo.

Pragnąc szerzyć ideały filomackie wśród młodzieży wileńskiej bezpośrednio, założyła w r. 1923, wielkim nakładem sił i kosztów, gimnazjum i liceum żeńskie im. Filomatów w Wilnie i prowadziła je aż do wojny w r. 1939.

Szczęśliwy traf sprawił, że ś. p. Pietraszkiewiczówna nie została wywieziona podczas wojny przez bolszewików; nie opuściła też umiłowanego Wilna ani w czasie okupacji niemieckiej, ani później, po r. 1944, po powtórnym zajęciu Wilna przez wojska sowieckie, podczas t. zw. „repatriacji" polskiej ludności Wileńszczyzny na zachód.

Do r. 1949 była nauczycielką szkoły polskiej na Antokolu, później, pozbawiona tej pracy, korzystając z bardzo szczupłej emeryturki, opiekowała się ciężko chorą wychowanką swoją i żyła w wielkim niedostatku. W ciągu trzech lat ostatnich, widywano ją codziennie na Mszy św. w kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej. Po kilkumiesięcznej chorobie (zapalenie woreczka żółciowego i zapalenie płuc) Bogu ducha oddała 23 września r. 1952.

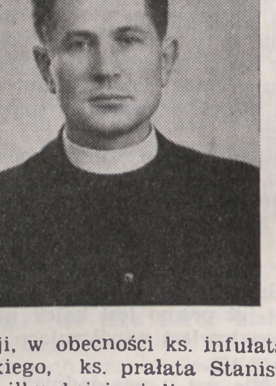
Zwłoki tej zasłużonej Polki i wiernej córy Kościoła, która biorąc nader żywo do serca sprawy Kościoła i Polski, wychowała kilka pokoleń młodzieży żeńskiej w Wilnie, spoczęły na Rossie, obok grobu Onufrego Pietraszkiewicza, tudzież dziada jej i ojca, jako widomy dowód związku Wilna z przeszłością filomacką w ciągu stulecia z górą. Na grobie jej, obok nazwiska, położono napis: „Ukochała hasło: Ojczyzna — Nauka — Cnota".

S. K.

25-LECIE KAPŁAŃSTWA KS. KANONIKA STANISŁAWA BEŁCHA

W dniu świętych Piotra i Pawła Rektor Polskiej Misji Katolickiej na Anglię i Walię, ks. prałat Wł. Staniszewski odprawił wieczorem Mszę św. na intencję ks. kanonika Stanisława Bełcha, w 25 rocznicę jego święceń. Mszy tej wysłuchali m. in. wszyscy zaproszeni na raut z okazji jubileuszu kapłańskiego ks. Bełcha.

Zebranie dla uczczenia jubilata odbyło się w odnowionej i powiększonej



sali Misji, w obecności ks. infułata B. Michalskiego, ks. prałata Staniszewskiego, kilku księży i licznego grona przyjaciół ks. kanonika Bełcha oraz przedstawicieli polskich organizacji katolickich w Londynie. Serdeczne przemówienie wygłosił ks. infułat Michalski, po czym zebrani składali jubilatowi życzenia. Odpowiedział krótko ks. Bełch.

Nazwisko ks. Stanisława Bełcha związane jest ściśle z działalnością intelektualną i wydawniczą katolików polskich w W. Brytanii. Zajmuje on obecnie stanowisko kapelana akademickiego młodzieży polskiej w Anglii oraz asystenta kościelnego Polskiego Stowarzyszenia Uniwersyteckiego „Veritas", które jest polskim członem „Pax Romana".

Na te stanowiska powołany został ks. Bełch ze Stanów Zjednoczonych, gdzie przygotowywał pracę doktorską na uniwersytecie Notre Dame, uzyskawszy uprzednio dyplom ukończenia nauk politycznych (Political Science) uniwersytetu Fordham. Równocześnie ks. Bełch prowadził wykłady zlecone w Notre Dame.

Ks. Stanisław Bełch urodził się w r. 1904 w Przemyślu, gdzie otrzymał święcenia kapłańskie. Rodzina ks. Bełcha, ze środkowej Małopolski, od dawna odznaczała się gorliwością w służbie Bożej, mając za sobą takie dokonania, jak budowę kościoła oraz wybranie stanu kapłańskiego — oprócz ks. Stanisława — przez trzech jego braci. Jedna z sióstr ks. Bełcha jest misjonarką zakonną w Afryce.

Wybuch wojny zastał ks. Bełcha na studiach w Angelicum w Rzymie. Musiał przerwać naukę i oddał się pracy duszpasterskiej jako kapelan Armii Polskiej we Francji. W r. 1940 udał się z wojskiem do W. Brytanii.

Liczne są zasługi ks. Stanisława Bełcha na tym terenie, ale najważniejszymi osiągnięciami, dziś posiadającymi już historyczne znaczenie, jest zainicjowanie katolickiego ruchu wydawniczego w języku polskim oraz pobudzenie intelektualistów polskich i młodzieży do studium tomizmu. Wydawał ks. Bełch liczne broszury religijne, zawsze na wysokim poziomie i w starannej formie, nadanej im przez firmę wydawniczą Braci Mildner, oraz wiele książek, m. in. Stary i Nowy Testament, Naśladowanie Chrystusa Tomasza à Kempis i kilkadziesiąt innych tomików stanowiących do dzisiaj podręczną biblioteczkę polskich katolików na emigracji.

Oprócz tej trudnej a nadzwyczaj owocnej działalnoś5ci wydawniczej i pisarskiej ks. Bełch jest wytrwałym apostołem tomizmu wśród inteligencji polskiej. Jemu przede wszystkim zawdzięcza średnie i młode pokolenie inteligentów polskich na emigracji odrodzenie myśli tomistycznej. Ks. Bełch stworzył Koło Tomistyczne, które systemem seminaryjnym zajmowało się analizą pism św. Tomasza oraz wydał kilka cennych skryptów z zakresu teologii tomistycznej. Jest również ks. Bełch jednym z założycieli PKSU „Veritas".

Ks. Stanisław Bełch zajmuje się poza tym gorliwie kultem św. Stanisława B. M. Przygotował do druku żywot św. Stanisława pióra Jana Długosza (w dwu tomach), a obecnie pracuje nad większą pracą o Patronie Polski. Równocześnie ks. Bełch przygotowuje ogromne opus o Pawle Włodkowicu.

ŻYCIE drukowało w tegorocznym numerze wielkanocnym pracę ks. Stanisława Bełcha o poglądach społeczno-politycznych św. Tomasza i ma nadzieję dać naszym Czytelnikom niejedną jeszcze okazję zaznajomienia się z pracami świetnego tomisty. Postać ks. Stanisława Bełcha jest nadzwyczaj popularna nie tylko wśród młodzieży akademickiej, ale także wśród całej emigracji. Jest to człowiek nie tylko wielkiej kultury humanistycznej, ale i twardego charakteru. Redakcja ŻYCIA dołącza do licznych życzeń dla Księdza Kanonika Bełcha i swoje serdeczne „Ad multos annos!"

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9/34. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 12 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal albo Money orderem względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//), wystawionych na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £1, w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kulakowski, 101, Augusta Lambiotte, Bruxelles 3. FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo: „Libella" Libraire, 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 260 DM. Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Shipphorst 2 i St. Mikiciuk, (13 B) München 54, Seehamerstr 4, Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas. Section Suisse Case Postale 19, Fribourg 3. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski Anggatan 1c, Lund Sverige Sweden. — U.S.A.: kwartalnie pocztą zwykłą 2 $, pocztą lotniczą 5 $. Przedstawiciele: 1) Mrs. J. Stojanowska, 33 East 22-nd Street Bayonne, N. J. 2) Gryf Publication, 808, Wager st. Utica, 3) Bagiński, 5050, Cass Avenue, Detroit 2, Michigan, U.S.A.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2.